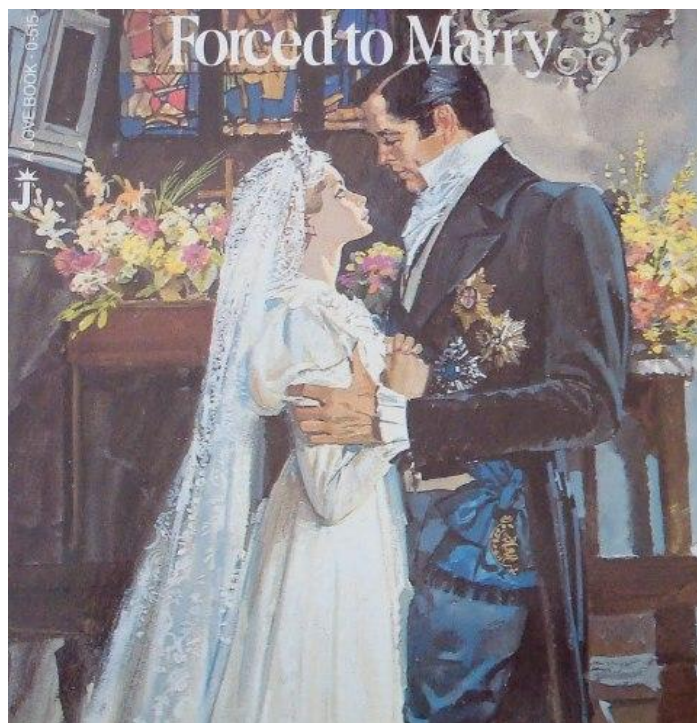


Barbara Cartland

Małżeństwo z przymusu

Forced to marry



Rozdział 1

ROK 1818

- Nie Dziadku, to absolutnie niemożliwe! Nie mogę tego zrobić!

- Postąpisz jak ci każę - ryknął sir Robert Sullivan. - Jeśli sądzisz, że pozwolę, by moje pieniądze zostały roztrwonione przez jakiegoś nędznego łowcę posagów to jesteś w wielkim błędzie!

- Nie każdy mężczyzna, który zabiega o moje względy robi to tylko dla pieniędzy - rzekła Gytha spokojnie.

- Czy naprawdę sądzisz, że ktokolwiek zechciałby cię poślubić z innego powodu? - odciął się sir Robert. - Nie mam ci nic więcej do powiedzenia. Wybór pozostawiam tobie. Możesz wyjść za Vincenta lub za Jonathana i im szybciej podejmiesz decyzję, tym lepiej.

Dał znak stojącemu przy jego wózku lokajowi, by zabrał go z pokoju.

Gytha odprowadziła dziadka wzrokiem do drzwi, następnie usiadła wygodnie na sofie.

- Co mam począć? - zapytała z rozpaczą. - Co... mam zrobić?

Ku jej zdziwieniu, w ostatnim czasie dziadek zaczął intensywnie rozmyślać jak rozporządzić swym olbrzymim majątkiem. Lekarze zdradzili jej w sekrecie, że nie ma szans, by starzec żył dłużej niż dwa lub co najwyżej trzy miesiące. Gytha nie podzieliła się z nikim tą poufną wiadomością. Lecz dziadek, dzięki wyjątkowej przenikliwości, która jest swoistą cechą ludzi starych, przeczuwał, że jego dni są policzone. Nieustannie rozważał kto odziedziczy majątek, który zgromadził w Indiach w ciągu wielu lat. Nikt, prócz adwokata, księgowego i jego samego, nie wiedział jaką sumę właściwie posiada. Kilku, wciąż żyjących członków jego rodziny, miało świadomość, że jest to ogromna fortuna. Gytha była

przekonana, że bratankowie dziadka: Vincent i Jonathan, synowie jego młodszego brata, tylko liczą dni gdy wreszcie zagarną spadek.

Pech chciał, że sir Robert miał tylko jednego syna. Zginął on w bitwie pod Waterloo, pozostawiając po sobie córkę, Gythę.

Alex Sullivan był niezwykle czarującym mężczyzną, który w pełni potrafił korzystać z życia. Odznaczył się jako wybitny dowódca w armii Wellingtona. Jego śmierć była tragedią nie tylko dla pułku, lecz przede wszystkim dla ojca, który widział w synie kontynuatora dążeń i tradycji rodowych.

Gytha często miała wrażenie, że dla ojca pieniądze nie miały większego znaczenia. Cieszyło go samo obcowanie z ludźmi. Znajdował przyjemność w rzeczach dużo prostszych niż ciągła pogoń za bogactwem.

Jej matka była podobna. Pochodziła z ziemiańskiej rodziny i kochała wieś. Nie pragnęła wyjechać do Londynu i bywać na wystawnych balach, zgromadzeniach i przyjęciach, które w czasie wojny wciąż wydawano. Natomiast gdy pułk, w którym walczył jej mąż wyruszył do Belgii, przeniosła się z niewielkiego domu do majątku ziemskiego. Okazała rezydencja sir Roberta, stała się jej domem.

Czasem śmiejąc się mawiała do Gythy:

- Czuję się czasami, jakbyśmy były małymi ziarnkami grochu, grzechoczącymi w długim strąku fasoli.

Jednak po śmierci Alexa, wielki dom stał się jeszcze bardziej ponury niż zwykle. Niczym duch poruszała się po pustych pokojach o wysokich sufitach i wielkich rzeźbionych schodach zdobionych złoceniami.

Pani Sullivan czuła jak powoli traci chęć do życia i wiednie. Gytha wiedziała, że nie jest to tylko szok spowodowany śmiercią ojca. Ona po prostu nie mogła uwierzyć w to, co się wydarzyło.

Wkrótce Gytha została zupełnie sama z dziadkiem. Był on już stary i niechętnie przyjmował w swym domu jakichkolwiek gości. Rzadko więc widywała rówieśników.

Życie Gythy zamieniło się w samotną wegetację. Jedyne pocieszenie znajdowała w koniach, których pełne były stajnie dziadka. W przerwach między lekcjami z guwernantką, Gytha każdą wolną chwilę spędzała na koniu.

Dziadek wciąż zmieniał guwernantki, gdyż do każdej miał jakieś zastrzeżenia. Często same rezygnowały nie mogąc znieść jego ciągłego wtrącania się do wszystkiego i izolacji od świata. Gytha sama uczyła się i dużo czytała. Mnóstwo czasu spędzała w olbrzymiej bibliotece. Bogaty księgozbiór, w którym znajdowały się także najnowsze publikacje był chlubą dziadka. Zawsze pragnął uchodzić za erudyte i ubolewał, że jako chłopiec nie został posłany do jednej z ekskluzywnych szkół prywatnych.

Jego pasją było kupowanie książek.

To one zbliżyły Gythę i dziadka. Gdy wracała z konnej przejażdżki, opowiadała o swoich lekturach i dziadek momentalnie zapominał, że powinna udać się na lekcję z guwernantką. Z zainteresowaniem wysłuchiwał jej opowieści. Czasem czytała mu na głos lub streszczała ciekawsze artykuły własnymi słowami. Dziadek powoli tracił wzrok i nie mógł przesiadywać nad książkami. Dlatego też Gytha stała się jego lektorką. Czytanie wzbogaciło jej wiedzę o świecie i literaturze i udoskonaliło umiejętność wypowiadania się. Było to dziwne życie dla niespełna 18 - letniej dziewczyny. Mieszkała w posiadłości dziadka ukryta przed światem, jak zakonnica w klasztorze.

Wtedy wydarzyło się nieszczęście.

Sir Robert zdał sobie sprawę, że jeśli wkrótce umrze, Gytha zostanie zupełnie sama. Gdy otrzyma w spadku majątek, łowcy posagów rzucają się na nią niczym sępy.

Niedoświadczona i naiwna dziewczyna nie zdoła stawić im czoła.

Sir Robert zdecydował więc, że powinna poślubić jednego z kuzynów. Byli oni synami jego młodszego brata, Jasona, którego nigdy nie darzył sympatią. Przez wiele lat nie utrzymywał z nim kontaktu.

Synowie Jasona wiedzieli, że mogą odziedziczyć fortunę i postanowili nie przegapić takiej szansy. Dlatego w ciągu ostatnich sześciu miesięcy stali się stałymi gośćmi we dworze sir Roberta.

Jednak żaden z nich nie przypadł do gustu Gythcie.

Vincent był zwyczajnym fircykiem. Mówił w modnie pretensjonalny sposób, cedząc słowa, co nie tylko brzmiało irytująco, ale również dawało jej odczuć, że jest nikim. Vincent miał trzydzieści pięć lat i pozował na człowieka o wielkowiejskich manierach. Usilnie starał się udowodnić wszystkim, jak wielkie znaczenie odgrywa w londyńskim świecie.

Czuł również nieodparty pociąg do płci pięknej. Jego lokaj, który nie zyskał sobie sympatii służby sir Roberta, nieustannie przechwalał się romansami swego pana z najpiękniejszymi kobietami w Londynie. Pokojówki zdawały Gythcie relacje ze wszystkiego, co zasłyszały z jego ust. Znały ją od dziecka. Teraz, gdy była już dorosła, mogły z nią szczerze o wszystkim rozmawiać.

- Nie sądzę, by łamanie kobiecych serc mogło być powodem do chluby. Nie wyobrażam sobie, by ojciec panienci, Boże miej w opiece jego duszę, zachowywał się w podobny sposób.

- Zgadzam się - przyznała Gytha. - Tata był człowiekiem zupełnie innego pokroju!

Kuzyn Jonathan jeszcze bardziej odbiegał od jej ideału mężczyzny.

Vincent zachowywał się wobec niej, kobiety, która nie należała do towarzystwa, w sposób protekcyjny i lekceważący. Była pewna, że uważa ją za mało atrakcyjną i niezbyt szykowną osobę. Był obrzydliwym pochlebcą. Gytha z pogardą przyglądała się, jak wciąż nadskakuje dziadkowi, pragnąc za wszelką cenę zaskarbić sobie jego sympatię. Robił to w taki sposób, że czuła się zażenowana, gdy patrzyła na to i słuchała jego słów.

Kiedy po śmierci jej ojca, kuzyni po raz pierwszy przybyli do dworu sir Roberta, nawet nie zwrócili na Gythę uwagi. W ich oczach była jeszcze dzieckiem.

A w dodatku, ze względu na swą płeć, nie liczyła się jako spadkobierczyni. Miała odziedziczyć tylko małą sumę, wystarczającą na posag. Reszta powinna bezwzględnie przypaść im, jako że nosząc nazwisko Sullivan, byli kontynuatorami tradycji rodu.

W ostatnim czasie stali się dziwnie podejrzliwi.

Nie ignorowali dłużej Gythy, a nawet zaczęli zabiegać o jej względy. Vincent zdobył się nawet na kilka fałszywych komplementów.

Gytha wiedziała, co naprawdę o niej myślą i tym większą czuła dla nich pogardę. W końcu, gdy obaj kuzyni wrócili do Londynu, dziadek oświadczył, że zamierza uczynić ją jedyną spadkobierczynią swego majątku. Dziewczyna zdziwiona wbiła w niego wzrok.

- Ależ nie możesz tego zrobić, dziadku!

- A któż może mnie od tego powstrzymać? - warknął starzec. - Potrzebujesz pieniędzy i sam będę decydował komu je zostawić. Choć nie darzę sympatią żadnego z bratanków, to w końcu noszą oni nazwisko Sullivan. Jeśli masz choć trochę rozumu, będziesz umiała wpłynąć na nich w ten lub inny sposób.

- Ale dziadku, nie zniósłabym myśli, że mam poślubić Vincenta lub Jonathana!

- Zrobisz jak ci każe - krzyknął dziadek.

Dzień w dzień starzec powtarzał te same argumenty. Pocieszający był jedynie fakt, że żaden z kuzynów na razie nic o tym nie wiedział. Nie mieli pojęcia, że postanowił już, kogo uczyni spadkobiercą swego majątku.

Gythę opanowała jeszcze większa złość, gdy dowiedziała się, że dziadek oczekuje obu kuzynów za dwa dni. Czowała, że znalazła się w pułapce z której nie ma ucieczki. Strach całkowicie sparaliżował ją i nie mogła zebrać myśli.

Gdy dziadek wyszedł z pokoju, natychmiast zerwała się i wybiegła na korytarz. Chwyliła cienkie palto leżące na krześle i założyła je nie czekając na pomoc lokaja.

- Czy panienka wychodzi? - zapytał.

- Idę do stajni, Harry - odrzekła Gytha. - Jeśli dziadek będzie o mnie pytał, to powiedz, że mnie nie widziałeś.

Harry, który służył już we dworze kilka ładnych lat, uśmiechnął się.

- Panienka może mi zaufać.

Gytha była zbyt wzburzona, by odwzajemnić uśmiech. Czekala z niecierpliwością aż otworzy jej drzwi, by móc wyjść z domu. Powietrze na zewnątrz było przejmująco zimne, a po zachodzie słońca jeszcze bardziej się ochłodziło. Gytha poczuła, że tego właśnie teraz potrzebuje - mroźnego, świeżego powietrza. Ruszyła w lewo piaszczystym dziedzińcem w stronę sklepionego przejścia. Prowadziło ono prosto do stajni.

Otworzyła drzwi i weszła do środka. Jej ukochane konie pozamykano już na noc w przestronnych boksach. Niektóre jadły nachylone nad żłobem, inne wylegiwały się na świeżym sianie, które stajenny Abbey codziennie wymieniał. Gytha

weszła do boksu swego ulubieńca, Ważki. Poklepała go, a on czule otarł się o nią nosem. Powiedziała:

- Och, Ważko, co mam począć? Pomóż mi... przecież nie mam nikogo. Nie mogę i za żadne skarby nie poślubię mężczyzny, którego nie kocham.

Przypomniała sobie, jak bardzo szczęśliwi byli ze sobą rodzice. Po śmierci ojca, dla matki zgasła iskierka radości i w jej życiu na zawsze zapanował zmrok.

- Pragnę kochać kogoś tak mocno jak ona, Ważko - szepnęła Gytha.

Koń gwałtownie zastrzygł uszami, co znaczyło, że słucha i rozumie.

Nagle dobiegły ją odgłosy czyichś kroków w przejściu do stajni. Był to Hawkins, ordynans ojca. Po wojnie sprowadził się razem z Gythą i jej matką do posiadłości dziadka.

- Usłyszałem panią głos - rzekł - i postanowiłem zajrzeć do środka, by przekonać się czy nie mógłbym w czymś pomóc.

Hawkins znał Gythę od dziecka i doskonale wiedział, że zawsze gdy była przygnębiona przychodziła do koni, by znaleźć pocieszenie i ukojenie w bólu. Ale w tej chwili, nawet jemu, nie była w stanie powiedzieć co czuje. Podejrzewała jednak, że lokaj, który opiekował się dziadkiem, opowiedział już całej służbie, o tym co tak bardzo ją zasmuciło.

Hawkins wszedł do boksu i widząc łzy w oczach Gythy rzekł:

- Proszę się nie martwić, panienko Gytho. Przyszedłem powiedzieć, że jutro odbędzie się zabawa, na którą dostała pani zaproszenie.

- Co za zabawa? - spytała z zainteresowaniem.

Przypomniała sobie jednak, że przecież nazajutrz po południu przyjeżdżają jej kuzyni.

- Dowiedziałem się również - odpowiedział Hawkins - że w sąsiedniej posiadłości lorda Locke'a organizowane są jutro wyścigi konne. Jeśli udałoby się nam rano wymknąć z domu, moglibyśmy znaleźć sobie jakiś dobry punkt obserwacyjny.

Gytha słuchała z zaciekawieniem.

- Wyścigi, Hawkins? Czy chcesz powiedzieć, że jego lordowska mość wrócił już? Myślałam, że jest jeszcze za granicą.

- Podobno już przyjechał - rzekł Hawkins - i na przywitanie organizuje wyścigi konne. Zaprasza przyjaciół z Londynu, którzy będą się ścigać na najwspanialszych koniach, jakie kiedykolwiek widziano w naszych okolicach.

- Och, Hawkins! Skąd ty to wszystko wiesz?

- Właśnie dowiedziałem się od jednego z lokajów z Locke Hall, który przyszedł dziś do karczmy Green Man na piwo.

Zamilkł na chwilę, lecz widząc zainteresowanie Gythy kontynuował:

- Podobno jego lordowska mość wydawał w Londynie bardzo huczne przyjęcia, więc na pewno i jutro zjedzie się mnóstwo gości, a stajnie będą po brzegi wypełnione wspaniałymi ogierami pełnej krwi.

Gytha roześmiała się.

- Och, Hawkins, jak wspaniale! Koniecznie musimy to zobaczyć! Ale nie zdradzaj nic pozostałym domownikom, bo gdy ten podły lokaj dziadka dowie się co planujemy, zaraz mu wszystko opowie i będę musiała zostać w domu.

- Nie pisnę nikomu ani słówka!

Gytha znów się zaśmiała. Doskonale wiedziała o tym, że między lokajem dziadka a resztą służby od lat trwał zażarty konflikt. Uważali go, zresztą słusznie, za szpiega. Powtarzał swemu panu wszystko, co zasłyszał.

- Powiemy domownikom, że jedziemy na krótką przejażdżkę, jak zwykle, i wrócimy na lunch. Spojrzała na niego i dodała:

- Na wypadek gdybyśmy zgłodnieli, poproś kucharkę, by przygotowała kilka kanapek.

- Wszystkim się zajmę, panienko Gytho - odpowiedział Hawkins. - I mógłbym pójść o zakład, że to jego lordowska mość wygra jutrzejsze wyścigi.

- Też tak myślę - zgodziła się Gytha. - Cudownie będzie znów widzieć go na koniu. Ciekawa jestem, czy zmienił się w ciągu ostatnich dwóch lat.

- Postarzał się - rzekł Hawkins - lecz stajenny w karczmie Green Man rozpływał się w pochwałach dla niego. Opowiadał, że lord Locke jest w świetnej formie i w ostatnich zawodach pokonał bezbłędnie całą trasę.

Gytha westchnęła z zachwytem. Przypomniała sobie, jak ostatni raz widziała lorda Locke'a na polowaniu. Pomyślała wówczas, że nikt nie wygląda w siodle równie wspaniale jak on. Lord i jego koń tworzyli harmonijną całość. Choć posiadłości dziadka i Locke'a sąsiadowały ze sobą, Gytha nigdy nie miała przyjemności go poznać. On również nigdy nie gościł w ich dworze. Przyczyną takiego stanu rzeczy był długotrwały i zajadły spór o graniczny las. Ojciec lorda twierdził stanowczo, że jest on jego własnością, natomiast sir Robert obstawał przy tym, że las bezspornie stanowi część jego majątku. Obaj gentlemani wezwali adwokatów, którzy przeanalizowali stare mapy, ale niestety nie doszli do żadnego satysfakcjonującego wniosku. Panowie obrazili się na siebie śmiertelnie i przestali widywać, nawet gdy w grę wchodziły interesy hrabstwa. Rodzina lorda Locke'a mieszkała w Locke Hall kilka pokoleń dłużej niż rodzina Sullivanów w swej posiadłości. Locke zajmował się organizacją wyścigów konnych oraz patronował wielu instytucjom dobroczynnym.

Sir Robert zaś patronował wystawom rolniczym, a także wspierał finansowo lokalne organizacje charytatywne. Lord Locke zyskał sobie dużo większą sympatię sąsiadów niż sir Robert, ale była grupa ludzi, która postanowiła utrzymywać dobre stosunki z obydwojma gentlemanami. Nie chcieli znaleźć się między młotem a kowadłem.

Kiedy obecny lord Locke został dziedzicem, zdążył odznaczyć się jako znakomity żołnierz. Po zakończeniu działań wojennych, lord stał się najbardziej podziwianym i cieszącym się największym wzięciem młodym mężczyzną w beau monde. Był doskonałym jeźdźcem, a także bokserem, porównywanym z zawodnikami z „Gentleman Jackson's Boxing Academy” na Bond Street.

Rozsławił swe imię jako wyśmienity szermierz, który pokonał dwóch europejskich mistrzów. Sprawdził się również jako świetny myśliwy i wyborowy strzelec.

Legends o lordzie Locke'u krążyły, opowiadane nieustannie przez mieszkańców obu posiadłości. Dla Gythy był bohaterem, odkąd tylko usłyszała o nim po raz pierwszy. Niestety, nigdy nie miała przyjemności poznać lorda Locke'a. Widywała go jednak czasem, co wystarczyło, by rozbudzić jej dziewczęcą wyobraźnię tak, by stał się obiektem jej marzeń.

Po wojnie lord Locke udał się w podróż dookoła świata. Było to bardzo podobne do niego, że zamiast spędzać czas w damskich buduarach odwiedzał dalekie kraje. Gytha słyszała, że w ogóle nie planował małżeństwa. Pragnął pozostać kawalerem. W jej wyobraźni czyniło go to jeszcze bardziej pociągającym.

Nie wyobrażała sobie, aby mógł uganiać się w życiu tylko za pieniędzmi, jak to czynili jej kuzyni lub usilnie wkradać się w łaski bogatego starca, tylko po to, by wyciągnąć od niego majątek.

- Zrobię wszystko, żeby zobaczyć tę gonitwę - rzekła do Hawkinsa. - Wejdziemy na wzgórze nie opodal Lasu Monk. Stamtąd doskonale będzie widać całą trasę wyścigów.

- Słyszałem, że jego lordowska mość udoskonalił technikę skoku od ostatnich wyścigów.

- W jaki sposób?

- Skoki są dużo wyższe i bardziej sprężyste.

- Chciałabym być tak dobra jak on - powiedziała rozmarzona.

Zdawała sobie jednak sprawę, że choć może obserwować lorda i podziwiać jego nadzwyczajne zdolności, to nigdy nie dostąpi zaszczytu poznania go osobiście.

Rozmowa o wyścigach odwróciła jej myśli od nieszczęścia, jakim były dla niej plany matrymonialne dziadka. Wróciła do domu uśmiechnięta. Nie myślała już o sobie, tylko o lordzie Locke'u.

Następnego dnia, ku radości Gythy, niebo było przejrzyste. Rankiem, gdy otworzyła okno, odetchnęła mroźnym powietrzem i dostrzegła, że trawy przyprószone są szronem. Później roz pogodziło się i wyjrzało słońce.

Gythą nie zajmowała się obecnie żadna guwernantka. Nikt więc na szczęście nie zadawał pytań i nie chciał wiedzieć, gdzie się wybiera. Gytha była pewna, że dziadek nie pojawi się na dole przed jedenastą. Gdy tylko zjadła śniadanie, pędem pobiegła do stajni. Hawkins czekał już na nią. Dziewczyna wskoczyła na Ważkę, a on dosiadł równie wspaniałego konia o imieniu Samson. Ruszyli lekkim kłusem, chcąc, by wszyscy myśleli, że wybierają się na zwykłą codzienną przejażdżkę i nie mają w zanadrzu żadnych innych zamiarów.

- Proszę trzymać się z dala od głównej drogi, panienko Gytho - rzekł stajenny, gdy odjeżdżali.

- Dlaczegoż to? - spytała Gytha udając zdziwioną.

- Będzie zatłoczona, gdyż mnóstwo powozów przyjedzie dzisiaj do posiadłości Locke'ów.

- W takim razie będziemy jej unikać - odrzekła Gytha niby od niechcienia.

Gdy odjeżdżali, ujrzała błysk radości w oczach Hawkinsa.

Był on niemłodym już mężczyzną, o szczupłej i wysportowanej sylwetce.

Jej ojciec często mawiał, że Hawkins był jedynym człowiekiem, na którym mógł polegać bez reszty, a w dodatku lokaj troszczył się o niego i był bardzo oddany. Hawkins był gotów spełnić każdą zachciankę swego pana, czy chodziło o uduszenie kaczki na obiad, czy też przygotowanie posłania w chlewie.

Matka Gythy śmiała się słysząc jak to mówi. Następnie odpowiadała z żalem w głosie:

- Kochanie, czemu to ja nie mogę pojechać z tobą na wojnę? Wiem, to nie wypada, bym zachowywała się jak markietanka.

- Ty, moja droga - odpowiadał - jesteś dla mnie całym światem i chcę, byś zawsze czekała na mnie w naszym domu. Ale obiecuję, że wrócę do domu najszybciej, jak to będzie możliwe.

Patrzył na nią oczami, które wyrażały ogromną, dozgonną miłość.

Następnie padali sobie w ramiona. Gytha po cichu wymykała się z pokoju, wiedząc że rodzice w takiej chwili zapominali o całym świecie.

Niestety, ojciec nigdy nie powrócił z wojennej wyprawy. Dom, w którym byli tak szczęśliwi, umarł razem z nim. Pozostały ciemne, ponure pokoje i rozbrzmiewający echem zżędlawy głos dziadka, nieustannie szukającego zaczepki.

Podniecenie, jakie rosło w Gycie na myśl o wyścigach, pozwoliło jej zapomnieć o problemach i smutkach życia.

Znów ujrzy bohatera fantazji jakie snuła wieczorami, gdy zdmuchnęła już świece przy łóżku i ułożyła się do snu.

Ruszyli przez park drogą, którą zwykle kierowali się na ranną przejażdżkę. Następnie na wypadek, gdyby ktoś z domowników ich obserwował zawrócili przez las i pomknęli ostrym cwałem. Minęli pola, skąd jakieś dwie mile dzieliły ich od granicznego lasu, będącego przedmiotem zacieklego, długoletniego zatargu między sir Robertem i lordem Locke'em. Ów spór zatruł całkowicie stosunki między dwoma rodami, które żyły obok siebie przez tyle lat, i bez których trudno byłoby wyobrazić sobie to hrabstwo.

- Co za bezsensowna wojna! - powiedziała raz matka Gythy. - Odkąd mieszkam w majątku ojca, chciałabym żyć w zgodzie ze wszystkimi sąsiadami, również z Locke'ami.

- Do tego muszę doprowadzić, gdy dziadek zostawi mi w spadku swój majątek - przyrzekła sobie Gytha.

Następnie uświadomiła sobie wszystkie konsekwencje.

Słońce chwilowo zaszło i wokół niej rozpostarła się mgła, przez którą z trudem mogła się przedrzeć. Postanowiła zapomnieć o wszystkich problemach i cieszyć się widokiem lorda Locke'a zwyciężającego w wyścigach.

Jechali wolnym truchtem przez las. Gdy wynurzyli się po drugiej jego stronie, Gytha zdała sobie sprawę, że są już na miejscu. Znaleźli się na wysokim wzgórzu, które gwałtownie opadało ku dolinie. To właśnie tam miała odbyć się tak długo wyczekiwana gonitwa. Dziewczyna dostrzegła w oddali grupę widzów, którzy zgromadzili się przy przeszkodach. Dokładnie tak jak mówił Hawkins, przeszkody były znacznie wyższe i było ich dużo więcej niż kiedyś. Kilku jeźdźców na koniach kręciło się już przy linii startu. Wszyscy ścigali się dziś na wspaniałych wierzchowcach czystej krwi. W siodłach siedzieli eleganccy młodzi mężczyźni, którzy na pewno przyjechali specjalnie na tę okazję z Londynu. Nawet z tak dużej

odległości Gytha dostrzegła wysokie kapelusze, idealnie skrojone kurtki, wzorowo zawiązane krawaty i wyczyszczone na błysk buty.

Przyglądała się jeźdźcom, przenosząc wzrok z jednego na drugiego. Nagle z oddali wyłonił się czarny ogier i podbiegł kłusem do linii startu. Z drzeniem serca Gytha rozpoznała siedzącego na nim lorda Locke'a. Nikt nie wyglądał w siodle tak dostojnie jak on i nikt nie miał tak wspaniałego wierzchowca. Uznała, że nie zmienił się od czasu, gdy widziała go przed rokiem. Był teraz nawet jeszcze przystojniejszy niż kiedyś.

Dawno temu, podczas polowania, minęła go przy bramie. Miała okazję ujrzeć z bliska jedną z najbardziej niezwykłych twarzy, jakie do tej pory oglądała. Lord był nie tylko bardzo przystojny, ale w jego rysach było również coś dzikiego. Miał twarz pirata, korsarza, człowieka, który potrafi rozkoszować się życiem i czerpać z niego jak najwięcej.

Zastanawiała się, skąd tak dużo wie o mężczyźnie, z którym nigdy nie zamieniła nawet słowa. Zawsze gdy patrzyła na lorda Locke'a, miała wrażenie, że różni się on od innych mężczyzn. Wszyscy ci przystojni panowie, którzy przybyli z Londynu, nie mogli się z nim równać. Gytha obserwowała jak rozmawiali z nim i śmiali się. Jasnym było, że to on wydaje polecenia, a oni je wypełniają.

Wreszcie zawodnicy ustawili się w szeregu, a widzowie przyglądali im się bacznie.

Nagle na komendę lorda dał się słyszeć strzał i konie ruszyły pędem. Gytha wstrzymała oddech. Była tak podekscytowana, że nagle, zupełnie bezwiednie, puściła konia naprzód galopem. Pomknął w dół, aż do samego toru wyścigów.

Wszyscy jeźdźcy pokonali właśnie pierwszą przeszkodę, a przy drugiej jeden koń odpadł. Gdy dobiegli do trzeciej

przeszkody, Gytha spostrzegła, że czarny ogier lorda prowadzi. Wprawdzie, powstrzymywany przez lorda, tylko nieznacznie wyprzedził inne konie, lecz jednak był pierwszy.

Gytha dostrzegła, że na usta lorda wkradł się zwycięski uśmiech. Wynik wydawał się z góry przesądzony.

Konie pokonały wodne przeszkody, a następnie przeskoczyły żywopłot, znacznie wyższy od pozostałych. Dalej zawodnicy przesadzili dwa wodospady i kolejny koń wypadł z trasy. Jeźdźcy pokonywali już ostatnie jarde wyścigu.

Gytha dokładnie widziała, jak ogier lorda bez wysiłku bierze przeszkody. Konie mknęły bez wytchnienia, aż znalazły się na prostym odcinku prowadzącym do mety. Teraz właśnie Gytha spostrzegła, że lord puścił konia swobodnie. Pozostało mu wyminięcie jeszcze trzech zawodników. Finisz był niesamowicie zacięty. W ostatniej chwili lord ściągnął cugle i czarny ogier poderwał się naprzód.

Zwycięzył w tym szaleńczym wyścigu, wygrywając o całą długość.

Gytha bacznie śledziła gonitwę. Wstrzymywała oddech przy każdej przeszkodzie, którą pokonywał wierzchowiec lorda. Gdy przemierzał ostatni fragment trasy, wprost zapało jej dech w piersiach. Teraz, gdy gonitwa zakończyła się, czuła się tak wyczerpana, jakby to ona sama brała w niej udział.

- A nie mówiłem, panienko Gytho - rzekł Hawkins. - Wiedziałem, że jego lordowska mość zwycięży. Nikt nie może się z nim równać.

Gytha przytaknęła. Przez chwilę jednak nie mogła wydobyć z siebie słowa, więc Hawkins kontynuował:

- Jaka szkoda, że nie możemy powiedzieć mu jak bardzo emocjonujący był ten wyścig. Pragnąłbym również obejrzeć z bliska jego konia.

- Ja także bardzo żałuję - odpowiedziała Gytha.

- Przykro mi - ciągnął Hawkins wpadając w rozmowny nastrój - iż jego lordowska mość nie jest mile widziany we dworze, mimo że panienci ojciec uratował mu życie.

Po raz pierwszy od początku wyścigu Gytha odwróciła głowę i spojrzała na Hawkinsa. Jej oczy wyrażały zdziwienie.

- Co masz na myśli?

- Nigdy pan nie opowiadał panience? - zapytał Hawkins.

- Nie wiem o czym mówisz - rzekła Gytha. - Kiedy to się stało?

- To było w Portugalii; pierwsza bitwa, w jakiej walczył lord Locke po wstąpieniu do pułku.

- Opowiedz mi, co się wówczas wydarzyło? - poprosiła Gytha.

- Nieoczekiwanie natknęliśmy się na oddział Francuzów i zanim zorientowaliśmy się, co się dzieje, koń lorda Locke'a został śmiertelnie raniony.

Gytha wydała dziwny pomruk, ale nie przerywała mu.

- Wróg miał sześciokrotną przewagę - ciągnął Hawkins - więc ojciec panienci wydał rozkaz odwrotu. Nic więcej nie można już było zrobić. Gdy porucznik Locke runął na ziemię z koniem, podjechał do niego ojciec panienci, nachylił się i krzyknął:

- Wskakuj za mną na siodło, przyjacielu, i czym prędzej uciekajmy stąd!

Pan podał lordowi rękę, pomógł mu wsiąść na konia i ruszyli galopem pośród świszczących kul. Gytha westchnęła.

- To bardzo podobne do taty.

- To musiał być cud, panienko. Pan mógł polec jak reszta żołnierzy. Wszyscy z wyjątkiem niego posłuchali rozkazu i wycofali się.

Hawkins roześmiał się i dodał:

- Jestem przekonany, że gdy jego lordowska mość wspomina tę chwilę jest niezmiernie wdzięczny pani ojcu, za

to, iż wciąż żyje. Szczególnie gdy odnosi zwycięstwo w gonitwie, tak jak dziś.

- Masz rację - rzekła Gytha cicho. Popatrzyła na lorda. Przyjmował właśnie gratulacje od tłumu, który zgromadził się wokół niego.

Nagle przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Był on ryzykowny i niezwykle śmiały. Przeraziła się, gdy zdała sobie sprawę, co naprawdę oznacza.

Rozdział 2

Lord Locke ruszył dumnie w stronę domu z uśmiechem na ustach. Jak zwykle otrzymał gratulacje od pozostałych uczestników wyścigu, również mnóstwo widzów tłoczyło się, by uścisnąć mu dłoń.

Minęło południe, gdy wreszcie całe towarzystwo dotarło do Locke Hall. Czekał na nich lunch. Goście do tej pory zdążyli już zgłodnieć. Lord Locke miał jednak zasadę, by nie spożywać dużych posiłków przed zawodami. Dlatego też nie zwracał uwagi na narzekania gości, że posiłek się opóźnia. Wiedział, że kucharz na pewno zaserwuje wyśmienite potrawy. Rano, przed wyjściem, rozmawiał też z podczaszym. Poleciał mu, jakie alkohole ma podać.

Już podczas swych podróży po świecie, lord z tęsknotą myślał o dzisiejszych wyścigach. Odwiedził różne odległe miejsca, ponieważ kiedyś pragnął zostać podróżnikiem.

Dziś udowodnił, że jego ogier o klasę przewyższa wszystkie inne konie. Lord zachował się jednak jak przystało na prawdziwego gentlemana i wyraził najwyższe uznanie dla swych pokonanych rywali. Wiedział, że czują się rozczarowani i przegrana jest dla nich bolesna.

Niemniej jednak humory dopisywały gościom, bowiem w głębi duszy wszyscy zawodnicy liczyli się ze zwycięstwem gospodarza.

Przy wejściu do wspaniałej rezydencji, którą jego dziadek odbudował w połowie zeszłego wieku, zebrali się stajenni w oczekiwaniu na jeźdźców.

Lord Locke poklepał czarnego ogiera, dzięki któremu zwyciężył w dzisiejszych wyścigach i zwrócił się do swego stajennego:

- Herkules spisał się zgodnie z moimi oczekiwaniami. Obaj możemy być z niego dumni.

- To jest najlepszy koń w całej stajni milordzie - odpowiedział stajenny.

Wiedział, że pan bezsprzecznie zgadza się z nim.

Lord Locke ruszył po schodach do holu, a goście udali się za nim.

Nagle stanął jak wryty. Na górze, na schodach, oparta o złoconą, kryształową balustradę stała kobieta. Lord wlepił w nią wzrok, a ona ruszyła w jego stronę. Cichym, zmysłowym głosem, który tak doskonale pamiętał, odezwała się:

- Czy cieszysz się, że mnie widzisz, Valiancie? Lord Locke patrzył na nią ze zdziwieniem, a raczej z przerażeniem. Nie chcąc jednak zdradzić swych uczuć rzekł:

- Powiedziano mi Zuleiko, że wyjechałaś z Anglii.

- Wróciłam do kraju dwa dni temu i dowiedziałam się, że ty również tu jesteś.

Jej oczy były pełne wyrazu. Mówiły więcej niż zmysłowe usta. Trudno było wyobrazić sobie piękniejszą kobietę. Księżniczka Zuleika El Saladin była jedną z tych tajemniczych osób, które nieoczekiwanie niczym meteoryt pojawiają się w towarzystwie. Trudno było ją rozszyfrować, a tym bardziej zaklasyfikować do jakiejś szczególnej kategorii ludzi. Księżniczka pojawiła się w Londynie dokładnie po zakończeniu wojny. Jej wrogowie, a miała ich wielu, mawiali, że: „zawsze stała z boku i czekała, aż wyłoni się zwycięzca.”

Nikt dokładnie nie wiedział, jakiej jest narodowości lub skąd pochodzi ta nadzwyczajna piękność. Ona sama utrzymywała z dumą, że jest Rosjanką. Ci, którym udało się lepiej ją poznać, jak na przykład lord Locke, podejrzewali, iż ojczyzną Zuleiki jest południowa część Europy. Ciężko było jednak zaprzeczyć temu, co mówiła, nie mając na to żadnych dowodów.

Po raz pierwszy wyszła za mąż za rosyjskiego szlachcica, a drugi jej mąż był Turkiem. To właśnie jego nazwiska

używała. Dodawała „El Saladin”, by rozbudzić ciekawość tych wszystkich, którzy niezmiernie interesowali się jej osobą.

Mężowie zostawili jej ogromną fortunę. Kupiła jeden z największych domów na Myfair. Zaczęła oddawać się wyszukanym rozrywkom. Na wytwornych balach i przyjęciach, które wydawała, zawsze zaskakiwała jakimś oryginalnym pomysłem i ujmowała wręcz przesadną gościnnością. Zabawy odbywały się jedna po drugiej. Bywała na nich tylko elita towarzyska, dlatego zaproszenie było dużym wyróżnieniem.

Księżniczka miała ciemne, błyszczące oczy, gibką figurę i klejnoty, które wyglądały jak ze skarbca Aladyna.

Oczywiście, o jej względy zabiegali wszyscy mężczyźni z wyższych sfer.

Od kiedy jej oczy po raz pierwszy spoczęły na lordzie Locke'u, rozpoczęła bezwzględną pogoń za nim. Nie byłby prawdziwym mężczyzną, gdyby zdołał oprzeć się jej staraniom. Rozsądek spowodował, iż szybko zdał sobie sprawę, jak mocno zaangażował się emocjonalnie.

Jednym z powodów, dla których postanowił spędzić rok podróżując po świecie, była próba uwolnienia się od księżniczki. Zwiedził kraje, które w latach wojny były niedostępne dla Anglików. Po powrocie natychmiast udał się do Londynu. Z ulgą odetchnął, gdy dowiedział się, że Zuleika jest we Francji.

Teraz, nieoczekiwanie pojawiła się ponownie. I to nie w Londynie tylko na wsi, tam, gdzie nigdy nie spodziewał się jej spotkać.

Uniósł jej dłoń do swych ust i pocałował. Następnie poprowadził ją do salonu. Tam, zgodnie z poleceniem, czekał już na gości szampan. Lord zaplanował zebranie tylko w męskim gronie, wychodząc z założenia, że kobiety będą

jedynie rozpraszały uwagę mężczyzn chcących swobodnie porozmawiać o koniach i wyścigu.

- Czy zechciałabyś zjeść ze mną lunch? - spytał księżniczkę w drodze do salonu.

- To również, mój drogi Valiancie - odpowiedziała przewrotnie. - Mimo że zapomniałeś zaprosić mnie do siebie, to teraz również jestem twoim gościem.

Lord wbił w nią wzrok.

- Czy przybyłaś sama? - spytał z niedowierzaniem.

Roześmiała się, a jej śmiech zabrzmiał uroczo.

- Nie odważyłabym się urazić twojej purytańskiej moralności czyniąc coś tak nierozsądnego. Nie, Valiancie, przywiozłam ze sobą dwie przyzwoitki w osobach Lucy Compton i Caroline Blackstone.

Na ustach lorda zagościł sarkastyczny uśmiech, gdy odrzekł kurtuazyjnie:

- To wyśmienicie!

Wiedział doskonale, że obie damy wdały się w burzliwe i głośne romanse z mężczyznami, którzy startowali w dzisiejszych wyścigach. Był więc pewien, że bardzo skwapliwie przyjęły propozycję przyjazdu do Lock Hall z księżniczką Zuleiką. Nie były wprawdzie proszone, lecz z pewnością zostaną chętnie powitane przez kochanków.

Lord Locke i księżniczka zdążyli zabawić w salonie dosłownie kilka minut, gdy dołączyło do nich grono zawodników, którzy startowali w dzisiejszym wyścigu. Chwilę później weszły lady Compton i hrabina. Ich nieoczekiwane pojawienie się wzbudziło zdziwienie i zachwyty.

Lord pomyślał skwaszony, że w takiej sytuacji powinien zaprosić partnerki dla pozostałych towarzyszy. Inaczej poczują się zlekceważeni. Myśl o tym rozstroiła go wyraźnie. Po wielu hucznych zabawach w Londynie z niecierpliwością

czekał na dzisiejsze przyjęcie, by wreszcie poświęcić się rozmowom wyłącznie na tematy polityki i sportu. A kolejnych kilka dni pragnął spędzić w siodle. Ze względu na przyjazd księżniczki będzie musiał zmienić plany. Miał już dosyć awantur, zastanawiał się więc usilnie, jak się jej pozbyć.

Zdawał sobie sprawę, że jeśli cokolwiek niezwykłego zdarzy się w jego domu, to natychmiast stanie się to tematem plotek w każdym klubie w St. James. Sprawdził, czy każdy dostał już kieliszek szampana, po czym wyszedł z pokoju, by zmienić strój do jazdy konnej. Lord Locke był znany z elegancji i dobrych manier. Uważał, że prawdziwy gentleman musi wyglądać nienagannie. Za nic w świecie nie usiadłby do stołu w pogniecionej koszuli i krawacie. Choć czas uciekał, a głód zaczął dawać się już lordowi we znaki, zmienił koszulę, surdut i krawat zanim znów pojawił się w salonie.

Czuł, że odżył po zaciętym, szalonym wyścigu. Nikt, prócz księżniczki, nie zauważył jego nieobecności. Gdy wrócił, natychmiast znalazła się u jego boku. Położyła swoją dłoń o długich, smukłych palcach na jego ramieniu. Patrząc mu prosto w oczy rzekła czule:

- Czy cieszysz się, że znów mnie widzisz?

Nie mógł sprawić jej przykrości i zaprzeczyć.

Po chwili zostawił księżniczkę samą i zaczął kierować gości do jadalni. Zgodnie z oczekiwaniami potrawy były wyśmienite.

Lunch okazał się doskonałą okazją, by uczcić jego zwycięstwo w wyścigach. Goście wznosili również toasty za piękne kobiety, które dotrzymywały im towarzystwa.

Lord Locke z niezadowoleniem stwierdził, że wszyscy wiedzą o poufnych stosunkach, jakie niegdyś łączyły go z Zuleiką. Mimo swej długiej nieobecności w kraju, znów napotykał te same trudności, które zmusiły go do wyjazdu z

Anglii. Był przekonany jednak, że w czasie jego podróży księżniczka miała na pewno niejednego kochanka.

Mimo to czuł, że on wciąż był dla niej kimś szczególnym. Nie tylko dlatego, że jak mu często powtarzała, był najbardziej namiętnym kochankiem jakiego kiedykolwiek miała. Nigdy wcześniej nie spotkała również nikogo o tak wysokiej pozycji społecznej.

To głównie wieść, że planuje wyjść za niego, wygnała lorda z kraju. Niejednokrotnie obiecywał sobie, że się nie ożeni. Jeśli nawet zdecydowałby się poślubić kogoś, to na pewno nie byłaby to kobieta tak rozpustna jak Zuleika. Jej rozwiązły tryb życia boleśnie ranił jego poczucie przyzwoitości. Jednocześnie była ona niezmiernie namiętną i niewątpliwie najbardziej czarującą kobietą jaką kiedykolwiek spotkał.

Zdawał sobie sprawę, że przed swym wyjazdem z Anglii wszyscy znajomi patrzyli zazdrosnym okiem na to, iż księżniczka Zuleika darzy go specjalnymi względami.

Lord Locke był jednak człowiekiem opanowanym i konsekwentnym. Nikt nie był w stanie zmienić raz podjętej przez niego decyzji. Gdy powiedział sobie dość, to znaczyło dość.

Miał w życiu wiele ważniejszych zadań do wypełnienia niż romans z Zuleiką, bez względu na to, jak bardzo była atrakcyjna.

Wiedział, że ich związek dostarczał ciągłych tematów do plotek. W towarzystwie mówiono, iż wszystkie wspaniałe i huczne przyjęcia Zuleika wyprawia wyłącznie dla niego.

Dlatego też zdecydował się wyjechać nieoczekiwanie z Londynu. O miejscu do którego się udawał, powiadomił jedynie swych najbliższych przyjaciół. Nie chciał, by Zuleika podążyła za nim. Sprawił jej niezwykle kosztowny prezent i posłał go wraz z listem, w którym dziękował za wszystko.

Dał jasno do zrozumienia, że wspólny rozdział w ich życiu właśnie się zakończył. Napisał również, że najprawdopodobniej nigdy już się nie spotkają.

Teraz jednak, zupełnie nieoczekiwanie jak w bajce, Zuleika znów była przy nim. Nie miał zupełnie pojęcia jak ma się jej pozbyć. Wiedział, jak wytrwała potrafi być w dążeniu do celu i jak ciężko jest oprzeć się jej natarczywym zalotom.

Obrzucił spojrzeniem gości siedzących przy stole w jadalni i spostrzegł, że wszyscy mężczyźni poza adoratorami Lucy Campton i Caroline Blackstone, wpatrywali się w księżniczkę jak zahipnotyzowani. Jednak to właśnie lord absorbował całą jej uwagę. Czuł, że księżniczka urzeka swym wdziękiem i jakąś orientálną magią.

Lunch udał się wyśmienicie. Lord przeczuł, że zasiądą do stołu późno, więc kazał podać tylko kilka dań. W związku z tym posiłek skończył się wcześniej niż planowano. Opuścili jadalnię w porze, gdy zwykle podawano herbatę.

- Myślę, że niektórzy zechcą odpocząć po tak wyczerpującym poranku. Ja tymczasem pójdę do stajni, by sprawdzić jak mają się konie.

- Mam nadzieję, że mają wystarczająco dużo szampana, by uczcić dzisiejszy sukces w wyścigach! - ktoś zażartował.

Gdy znalazł się na korytarzu, Zuleika stanęła mu na drodze, objęła ramieniem i rzekła:

- Nie odchodź proszę, chcę z tobą porozmawiać.

- Porozmawiamy później - odpowiedział. - Zaplanowałem już wiele rzeczy i nie mam zamiaru z nich zrezygnować, tylko dlatego, że ty zrobiłaś mi niespodziankę swym przyjazdem.

Zuleika nadała się i przymrużyła nieco oczy. Wiedział, że pragnęła by zareagował na jej prośbę jak dawniej.

Prawie niegrzecznie wyzwolił się z jej kurczowego uścisku. Zostawił ją w korytarzu i wyszedłszy przez drzwi frontowe ruszył w stronę stajni.

Gdy był już niemal na miejscu, dogonił go jeden z bliskich przyjaciół, Peregrine Westington.

- Jak zamierzasz pozbyć się księżniczki? - spytał bez ogródek.

Perry chodził do szkoły z lordem i służył z nim w jednym pułku. Lord całkowicie mu ufał, więc odrzekł:

- Nie mam pojęcia! Co mam począć, poradź mi Perry? Miałem nadzieję, że ona już o mnie zapomniała.

Peregrine Westington roześmiał się:

- Podczas twojej nieobecności wielu mężczyzn zalecało się do niej, lecz szczerze mówiąc Valiancie, w żadnym z nich nie mógłbyś upatrywać swego rywala.

Lord Locke zacisnął nerwowo usta, a Perry rzekł w zadumie:

- Ona zachowuje się zupełnie jak lamparcica w dżungli.

Lord Locke pomyślał, że ten opis dokładnie pasuje do Zuleiki. Była jak czarna lamparcica, podkradająca się do swej ofiary i atakująca w najmniej oczekiwanym momencie.

Gdy dotarli do stajni, nie mieli już możliwości dalej rozmawiać. Lord Locke chodził od boksu do boksu. Rozpływał się nad walorami Herkulesa, nie szczędząc również pochwał dla koni swych przyjaciół, które brały udział w wyścigu.

Ale jego głowę wciąż zaprzętała myśl o tym, jak uporać się z Zuleiką.

Instynkt podpowiadał mu, żeby nie angażował się po raz drugi, tak jak stało się to przed jego wyjazdem.

Zdawał sobie jednak sprawę z nieustępliwości księżniczki. Zastanawiał się jak ją przechytryć, nie dając przy tym powodów do przykrych plotek.

Czuł się zupełnie zbity z tropu i całkowicie bezsilny.

Lord Locke nie tolerował mężczyzn, którzy porzucają kobiety pozostawiając je w gorzkiej rozpacz. Lub też takich,

którzy dla zemsty podburzają wszystkich przyjaciół przeciwko natrętnej kochance, rozpętując wojnę w kręgach towarzyskich.

Wiedział, że tak często się zdarza. Zawsze był zdania, iż takie zachowanie świadczy o braku wrażliwości lub nieumiejętnym rozegraniu kart.

Lord miał wiele przygód miłosnych. Zawsze jednak udawało mu się pozostać w przyjaźni z kobietami, z którymi łączył go romans. Choć niektóre kochanki z pewnością czuły się zranione, to jednak duma nie pozwalała im upokorzyć się i przyznać do swych cierpień.

Zuleika była inna; Czasami wręcz prymitywna i wulgarna. Okazywała to nie tylko w miłości. Mogła posunąć się do najgorszego, by usidlić i zniewolić każdego mężczyznę, którego zapragnęła.

Lord Locke wiedział, że gdyby kazał jej wyjechać i jak najszybciej zniknąć mu z oczu, zrobiłaby wszystko, by zszargać mu opinię. Podburzyłaby pół towarzyskiego światka i użyła wszelkich argumentów, by wzbudzić we wszystkich litość nad sobą.

- Co u diabła mam zrobić? - zapytał sam siebie.

Doszedł do ostatniego boksu i w roztargnieniu poklepał konia należącego do przyjaciela. Stajenny wychwalał jego zalety, lord jednak nie słyszał ani jednego słowa. Skierował się z powrotem w stronę domu. Perry usiłował go pocieszać.

- Pomyślałem - rzekł - że dobrze by było, gdybyś poprosił na kolację kilku znajomych z sąsiedztwa. To nieco rozładowałoby sytuację.

- Myślałem już o tym - odpowiedział lord Locke. - Szkopuł w tym, że mogą czuć się urażeni, gdyż tak długo byłem za granicą, a zapraszam ich dopiero w ostatniej chwili.

- Więc ja powiem im prawdę - zasugerował Perry. - Wy tłumaczę, że kilku przyjaciół przyjechało nieoczekiwanie z

Londynu i dlatego zamiast małego poczęstunku na cześć zawodników, postanowiłaś wydać większe przyjęcie.

- Myślę, że jest to jedyne rozwiązanie - lord odrzekł znużony. - Ale mówiąc między nami, sytuacja jest po prostu beznadziejna.

- W pełni się z tobą zgadzam, lecz przynajmniej oszczędzi ci to tete - a - tete z Zuleiką.

Lord Locke nie odpowiedział. Gdy wszedł do domu, natychmiast udał się do gabinetu, w którym napisał pół tuzina karteczek. Następnie zadzwonił na sekretarza, by wezwał stajennych, którzy rozniosą zaproszenia do najbliższych domów w sąsiedztwie.

- Mam nadzieję, że zastaniesz ich na miejscu, Stevenson - rzekł do swego sekretarza.

Pan Stevenson, człowiek w średnim wieku, opiekował się posiadłością podczas nieobecności lorda Locke'a.

Spojrzał na nazwiska i odpowiedział:

- Jestem pewien, milordzie, że wszystkie te osoby są u siebie i z zachwytem przyjmą pańskie zaproszenie.

- Pomyśl lepiej o następnej liście gości, którzy mogliby przybyć w odwiedziny jutro wieczorem - rzekł lord Locke.

- Zrobię jak pan każe, milordzie.

- Dziś po kolacji będziemy grać w karty, a na jutro zorganizuj orkiestrę.

Stevenson usiłował, nawet drzeniem powiek, nie zdradzać swego zdziwienia. Przyzwyczyił się już, że lord Locke często zmienia plany. Nie sądził jednak, by było możliwe znalezienie orkiestry na tej głuchej, głębokiej wsi. Wiedział, że byłby to wyjątkowy wyczyn. Ukłonił się więc tylko i wyszedł z pokoju zabierając listy. Spełnił ściśle wszystkie polecenia lorda, tak że po dziesięciu minutach stajenni na koniach wyruszyli z zaproszeniami.

Aby dać sobie i służbie czas na załatwienie wszystkich spraw, lord Locke zamówił obiad o nietypowo późnej porze. Wiedział, że będzie to niespodzianka. Pomyślał również, że jego sąsiadów, jeśli tylko uda się ich zastać, będzie wprost zżerała ciekawość, by ujrzeć go po tak długiej nieobecności. Na pewno chcieliby również dowiedzieć się, któż to taki przybył nieproszony na przyjęcie planowane w męskim gronie. Stwierdził, że musi uprzedzić innych gości o tym, co się szykuje.

Nagle drzwi do gabinetu otworzyły się i w progu ukazała się Zuleika. Wyglądała tak ślicznie, że nie mógł oprzeć się zachwytowi nad jej błyszczącymi, ciemnymi oczami, lśniącymi niczym gwiazdy w idealnym owalu twarzy. Czarne włosy mieniły się fiołkoworóżowym połyskiem. Kontrastowały one ze skórą w kolorze płatków magnolii, której każdy mężczyzna pragnął dotknąć, gdy tylko ją ujrzał.

Suknie miała zawsze tak skrojone, by wyeksponować każdą wypukłość idealnej sylwetki. Gdy kołyszącym krokiem zbliżała się do niego, pomyślał z odrobiną cynizmu, że wygląda jakby pod suknią nie miała już nic. Było to bardzo prawdopodobne.

Bez słowa przeszła przez pokój i stanęła tuż przed nim. Nie dotykając go, chciała siłą swych myśli sprawić, by poczuł głębię jej pożądania.

Przez moment wyłącznie patrzyli sobie w oczy. Po chwili lord zdobył się na wysiłek, by odwrócić się i stanąć tyłem do kominka.

- Nie powinnaś była tu przychodzić, Zuleiko. Narazi nas to tylko na niepotrzebne i przykre plotki.

- Co nas to może obchodzić - rzekła Zuleika.

Powiedziała to cichym i jednocześnie tak zmysłowym głosem, jakby chciała wyrazić jak gorąco go pragnie.

- Muszę myśleć również o swojej rodzinie - lord Locke odpowiedział wyniośle. - Przed wyjazdem z Anglii moja babka żaliła się, że wciąż dostarczamy tematów do plotek i nie chcę, by się to powtórzyło.

Zuleika roześmiała się szyderczo.

- Drogi, głupiutki Valiancie, czy naprawdę sądzisz, że obchodzi mnie co mówi twoja babka lub ktokolwiek inny. Tęsknię za tobą, pragnę cię i teraz, kiedy wreszcie jesteś z powrotem, możemy być znowu razem, tak jak zawsze tego chciałam.

Nuta determinacji w jej głosie strasznie zezłościła lorda.

- Sądzę Zuleiko - odpowiedział - że muszę wyrazić się jaśniej. Podziwiam cię, chcę byśmy byli przyjaciółmi, lecz biorąc pod uwagę moją pozycję społeczną nie chcę, by ludzie wiedzieli zbyt wiele o moim życiu prywatnym.

Przerwał na chwilę, uśmiechnął się czarująco, po czym dodał:

- Jak dobrze wiesz, trudno zachować prywatność, gdy jest się przedmiotem ogólnego zainteresowania.

- Nigdy mi na tym nie zależało - odpowiedziała Zuleika. - Wiesz czego chcę, Valiancie, czy może muszę ci wytłumaczyć?

Mówiła cichym głosem. Wolnym krokiem zbliżyła się do niego. Następnie odrzuciła w tył głowę. Wyglądała tak pięknie, że chyba żaden mężczyzna nie oparłby się jej; prowokujące usta i zaproszenie w oczach stanowiły nieodpartą pokusę.

Lord nie poruszył się.

Po chwili powiedziała tak cicho, że ledwie słyszał jej słowa:

- Czy mam spytać cię o to, o co ty boisz się zapytać?

W momencie, gdy właśnie zastanawiał się co ma odpowiedzieć, drzwi otworzyły się. Z wielką ulgą odetchnął,

gdy do gabinetu wszedł Perry. Od razu zorientował się w czym problem, więc rzekł zwyczajnym tonem;

- Oto jesteś Valiancie! Pomyślałem, że powinienem cię powiadomić, iż ktoś chce się z tobą pilnie widzieć. Nalega na spotkanie bez względu na to, jak bardzo jesteś zajęty!

- Brzmi to tak, jakby ktoś przyszedł do mnie na skargę - zdążył odpowiedzieć lord.

Odwrócił się do księżniczki ze słowami:

- Przykro mi, Zuleiko, ale może odpoczniesz przed obiadem, który będzie dziś później, jako że dołączy do nas grono gości z sąsiedztwa.

Na chwilę w jej oczach pojawił się błysk złości. Szybko zdała sobie sprawę dlaczego ich zaproszono.

Następnie odezwała się słodkim, melodyjnym głosem, który zabrzmiał zupełnie niczym gruchanie gołębiczy:

- Przyjęcie, mówisz! Jak cudownie, jak to miło z twojej strony, że wydajesz je specjalnie na moją cześć!

Wyciągnęła rękę, by przechodząc dotknąć jego ramienia i uśmiechnęła mu się prosto w twarz. Następnie z gracją wyślizgnęła się z pokoju niemal nie dotykając stopami podłogi.

Gdy tylko drzwi zamknęły się za nią, lord Locke odetchnął z ulgą i rzekł:

- Dzięki Bogu, Perry, że wszedłeś w odpowiednim momencie.

- Pomyślałem, że możesz mieć kłopoty, stary, gdy zauważyłem, że Zuleiki nie ma z innymi w salonie.

Zatrzymał się, po czym spytał z niejaką rezerwą, ponieważ wiedział, że Locke nie lubi gdy ktoś miesza się w jego prywatne sprawy:

- Czy składała ci jakieś propozycje?

Lord Locke skinął głową, po czym powiedział ze złością:

- Jak mogłem wpakować się w takie tarapaty?

Będę chyba musiał spędzić resztę życia uciekając przed nią.

- Nie, wcale nie - rzekł Perry ze współczuciem. - Mimo wszystko błędem byłoby wszczęcie awantury tu, w obecności wszystkich przyjaciół. Wiesz jak Charlie i Tony gadaliby za twoimi plecami.

Lord Locke jęknął. Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, drzwi otworzyły się i lokaj zwrócił się do niego ze słowami:

- Panna Sullivan pyta, milordzie, czy mógłby się pan z nią natychmiast spotkać, ponieważ musi już wracać do domu.

- Więc faktycznie ktoś chciał się ze mną widzieć? - Lord spytał przyjaciela.

- Przecież ci mówiłem - odpowiedział Perry - choć rzeczywiście okazało się to bardzo dobrym usprawiedliwieniem.

Lord zwrócił się w zadumie do lokaja:

- Z pewnością, Bates, nie masz na myśli krewnej sir Roberta?

- To jego wnuczka, milordzie.

- Tutaj? Czeka na mnie? Cuda nigdy się nie skończą! Wprowadź ją, Bates. Umieram z ciekawości, co sprowadza tu pannę Sullivan.

Na usta lokaja wkradł się ledwie widoczny uśmiech. Odkąd tylko rozpoczął służbę dobrze wiedział o wojnie, jaką toczyli ze sobą obaj wielcy właściciele ziemscy.

Lord wyszedł z gabinetu i rzekł:

- Od dziecka wiedziałem, że nazwisko Sullivan nie może przejść mi przez usta, a ich noga stanąć na mojej ziemi.

- Jeśli przyszła w sprawie lasu, o który toczy się spór, to ja cię opuszczam. Pamiętam, kiedy byłem jeszcze w szkole, twój ojciec cały czas rozprawiał na ten temat.

Roześmiał się, po czym dodał:

- Każdy, kto ma chociaż odrobinę rozumu w głowie, podzieliliby ziemię na pół i uznał to za rozsądne rozwiązanie.

Lord Locke zaśmiał się.

- Jestem pewien, że mój ojciec nigdy nie wpadłby na coś tak prostego. Zrobiłby wszystko, by wygrać spór i podobnie było w przypadku „starego wyjadacza” - tak nazywaliśmy sir Roberta.

Perry rozbawiony podszedł do drzwi.

- Życzę ci powodzenia w rozmowach z wnuczką „starego wyjadacza”, ale uważaj, może okazać się równie niebezpieczna jak Zuleika!

Wyszedł nie czekając na odpowiedź.

Po chwili drzwi otworzyły się i Bates zaanonsował pannę Gythę Sullivan. Lord Locke wyobrażał sobie, że wnuczka sir Roberta będzie krzepką, rozmiłowaną w koniach kobietą w bliżej nieokreślonym wieku. Ku jego zdziwieniu młoda osoba, która weszła do pokoju była niska i drobna. Miała na sobie ciemny kostium do jazdy konnej, który podkreślał złoty odcień jej włosów wysypujących się spod kapelusza. Twarz w kształcie małego serca i wielkie szare oczy w oprawie ciemnych, długich jak u dziecka rzęs, sprawiały, że wyglądała niewinnie i bezbronne. Gdy zbliżyła się do lorda, pomyślał, że jej oczy kryją w swej głębi cień nieśmiałości. A może po prostu wyrażały strach? Wyciągnął rękę na przywitanie mówiąc:

- To wielka niespodzianka, panno Sullivan, powitać panią po raz pierwszy w Locke Hall.

- Jest tu dokładnie tak wspaniale, jak sobie wyobrażałam - powiedziała Gytha łagodnym, nieśmiałym głosem. - Dziękuję, że zechciał mnie pan przyjąć.

- Jestem szczęśliwy. Czy wizyta pani oznacza, iż ta śmieszna wojna, która trwa między naszymi rodzinami od ponad trzydziestu lat, dobiegła nareszcie końca?

- Obawiam się, że nie mogę wypowiadać się w imieniu mego dziadka. On nic nie wie o tych odwiedzinach - odrzekła Gytha - ale jeśli o mnie chodzi, to zawsze pragnęłam pana poznać.

Lord Locke uśmiechnął się, a dziewczyna dodała:

- Na początku chciałam pogratulować panu zwycięstwa w tych wspaniałych wyścigach.

Lord uniósł brwi z zaciekawieniem:

- Czy chce pani powiedzieć, że je widziała? Skinęła głową i z filuternym błyskiem w oczach rzekła:

- Śledziłam je bacznie ze wzgórza.

Lord wiedział, że znajdowało się ono dokładnie na skraju granicznego lasu, więc roześmiał się mówiąc:

- Więc chce się pani upomnieć o prawa do niego?

- Nie, pragnęłam jedynie podziwiać pana konia w tym wyścigu. Był wprost doskonały.

Chciała dodać, że równie wspaniały był jeździec.

Teraz, gdy rozmawiała z lordem Locke'em, zdała sobie sprawę, że jest jeszcze przystojniejszy niż przypuszczała. Nigdy wcześniej nie widziała go bez nakrycia głowy. Podobały się jej włosy opadające na szerokie, wyniosłe czoło oraz brwi zarysowane mocnymi łukami nad pięknymi oczami. Wyglądał zupełnie jak korsarz lub pirat. Ale jednocześnie jego rysy dowodziły arystokratycznego pochodzenia.

- Może pani usiądzie - zaproponował. Gytha usadowiła się na kanapie przy kominku.

Zapadła kłopotliwa cisza. Spojrzała na niego i poczuła, jak serce przeraźliwie bije jej w piersi. Zastanawiała się, czy odważy się powiedzieć mu o swoim planie. Lord Locke wyczuł jej skrepowanie, więc zaczął:

- Umieram z ciekawości, by usłyszeć z czym pani do mnie przybywa. Ale najpierw proszę pozwolić, że

zapropnuję jej coś dla pokrzepienia: może kieliszek szampana?

Gytha pokiwała przecząco głową.

- Nie, dziękuję za wszystko. Pragnę tylko... wytłumaczyć... w jakim celu przybyłam.

Mówiąc to odwróciła od niego głowę, co utwierdziło go w przekonaniu, że jest niezwykle nieśmiała.

Usiadła i zdjęła rękawiczki. Następnie zaczęła wyginać nerwowo palce.

- Nie mam pojęcia co panią może tak trapić - rzekł lord cicho - chyba że znów chodzi o las.

- Nie, to nie to - odpowiedziała Gytha. - Ta sprawa dotyczy wyłącznie mnie. Przyszłam, by prosić waszą lordowską mość o pomoc.

- Oczywiście, chętnie przyjdę pani z pomocą, jeśli to tylko możliwe.

- Obawiam się... że gdy usłyszysz pan, czego od niego oczekuję... uzna to za bardzo dziwne.

- Z niecierpliwością czekam, by usłyszeć cóż to takiego i zastanowić się, co mogę dla pani zrobić.

Chcąc ośmielić dziewczynę, usadowił się na fotelu tuż przy niej. Czując jak bardzo jest roztrzęsiona rzekł:

- Naprawdę postaram się pani pomóc. - Mówił głosem, któremu żadna kobieta nie potrafiłaby się oprzeć. Gytha uśmiechnęła się niepewnie, po czym zaczęła:

- Dziś właśnie dowiedziałam się od ordynansa mojego ojca... że tata uratował panu życie... niedługo po tym, jak zaciągnął się pan do pułku.

- Tak, ocalił mi życie - zgodził się lord. - I będę mu za to dozgonnie wdzięczny.

Zamilkł na chwilę, po czym kontynuował:

- Pani ojciec był doskonałym dowódcą. Byłem dumny, podobnie jak inni żołnierze, że mogę służyć pod dowództwem pułkownika Sullivana.

Widział, że Gytha uważnie go słucha, więc ciągnął:

- Nie było mnie przy nim, gdy poległ pod Waterloo, gdyż przeniesiono mnie do innego batalionu. Choć nie mogłem napisać do pani rodziny, było mi niezmiernie przykro, po otrzymaniu wiadomości o jego śmierci.

- Właśnie wtedy gdy ojciec wyruszył na wojnę, ja i moja matka przybyliśmy do posiadłości dziadka i zamieszkałyśmy w niej.

Lord milczał, a ona mówiła dalej:

- Matka zmarła, a dziadek jest bardzo stary... Spędziłam z nim sama cały ubiegły rok. Przez ten czas nikogo nie widywałam, czasem tylko... na polowaniu.

Chciała, by wiedział jak bardzo była odizolowana od otoczenia. Dostrzegła zrozumienie w jego oczach, dlatego dodała:

- Kilka tygodni temu... lekarze oznajmili... że dziadek nie pożyje dłużej... niż dwa lub trzy miesiące.

- Przykro mi to słyszeć - odpowiedział lord Locke konwencjonalnie.

- Myślę, że śmierć wreszcie ulży mu w cierpieniach. Często miewa bóle, przez co staje się przykry dla otoczenia. Jednak dziadek jest, jak zresztą chyba pan wie, bardzo bogatym człowiekiem.

- Tak właśnie słyszałem - odrzekł lord. Zastanawiał się jednak, co on ma z tym wszystkim wspólnego.

- Dziadek zdecydował, że mnie uczyni swą spadkobierczynią. - Powiedziała to tak ponurym, zdesperowanym głosem, że lord Locke spojrział na nią ze zdziwieniem, zanim oznajmił:

- Muszę więc pani pogratulować.

- Wcale... nie pragnę... jego majątku - wyjaśniła Gytha. - Tak naprawdę... wolałabym, by zostawił mi tylko tyle, by starczyło na skromne utrzymanie... lecz niestety, podjął już decyzję i nic nie może jej zmienić.

Lord zastanawiał się, co może jej poradzić. Gytha składając ręce rzekła:

- Słyszałam, że pan przyrzekł sobie, iż nigdy się nie ożeni.

- To prawda - odpowiedział lord Locke. - Nie mam zamiaru żenić się. Nie mam nawet trzydziestu lat, więc upłynie jeszcze dużo czasu, zanim będę potrzebował spadkobiercy.

Uśmiechnął się do niej i dodał:

- Myślę jednak, że pani trudno będzie długo zostać niezamężną, jeśli właśnie o to chodzi.

Lord nie miał pojęcia do czego ma prowadzić ta rozmowa. Ponieważ Gytha wydawała się wielce strapiona i smutna robił wszystko, by ją pocieszyć.

- Dziadek nalega - wyjaśniła Gytha nerwowo połykając słowa - bym poślubiła jednego z jego bratanków, Vincenta lub Jonathana, ale ja czuję do nich odrazę. Nawet jeśli się sprzeciwię, a mam przecież dopiero osiemnaście lat i dziadek jest moim opiekunem i tak będę musiała zrobić, co każe. Nie mogę temu zapobiec, chyba że pan mi pomoże.

Nie czekając aż lord Locke coś powie, kontynuowała:

- Pomyślałam, że jeśli naprawdę jest pan wdzięczny memu ojcu, to czuje się pan zobowiązany wobec niego i przyjdzie mi z pomocą, spłacając tym samym swój dług.

- O co pani prosi? - zapytał.

Gytha wzięła głęboki oddech i wykrztusiła:

- Proszę o to, by pan zareczył się ze mną.

Rozdział 3

Lord Locke stanął jak wryty i wpatrywał się w Gythę całkowicie zdumiony, a ona rzekła:

- Zaręczyny... będą ważne... tylko do śmierci dziadka, potem je zerwiemy.

- Nic nie rozumiem.

- Otóż jeśli zaręcze się z panem - odpowiedziała Gytha - to nie będę zmuszona wychodzić za mąż za żadnego z moich kuzynów.

- Czy jest pani pewna, że dziadek będzie nalegał na małżeństwo z człowiekiem, którego nie darzy pani uczuciem?

- Usiłowałam już... wytłumaczyć mu, iż nie mogę... tego zrobić, lecz on o mało co nie wpadł w szal i oświadczył, że jest moim opiekunem i muszę robić wszystko, co mi każe.

Nie podnosząc oczu odezwała się niepewnie:

- Obawiam się, że takie jest jego prawo, a ponieważ kuzyni czyhają tylko na pieniądze dziadka, bardzo chętnie zgodzą się na ślub. Ponieważ lord Lock milczał, ciągnęła przerażonym głosem:

- W przeszłości Vincent... okazywał mi niechęć i traktował z pogardą... a Jonathan jest... jeszcze bardziej nieprzyjemny i ma zawsze takie lepkie dłonie.

Mówiąc to cała drżała. Lord Locke zdawał sobie sprawę, że nigdy nie zniosłaby, aby ktoś taki jej dotykał. Jednak prosiła o rzecz zupełnie niemożliwą!

Podniósł się z fotela i przeszedł po pokoju. Stanął przy oknie i wyjrzał na zalany słońcem ogród. Zastanawiał się, jak może wytłumaczyć tej impulsywnej istocie, że to, o co prosi jest po prostu absurdalne. Gdy tak stał i przyglądał się drzewom mieniającym się jesiennymi barwami, nagle usłyszał jakiś dźwięk. Odwrócił się i ujrzał Gythę stojącą przy drzwiach.

- Dokąd pani idzie? - spytał ostro. Usłyszawszy jego słowa dziewczyna zatrzymała się. Przypominała mu teraz uczennicę, którą przyłapano, gdy robiła coś złego.

- Popełniłam błąd... przychodząc tu - oznajmiła po chwili - lecz byłam tak zdesperowana... Gdy dowiedziałam się, że ojciec... uratował panu życie, pomyślałam... może pan mnie zrozumie.

Jej słowa poruszyłyby każdego, więc lord Locke rzekł:

- Proszę usiąść, zastanowimy się nad jakimś rozwiązaniem tego problemu.

Zamilkł na chwilę, po czym kontynuował:

- Nie chciałbym, żeby uznała mnie pani za niewdzięcznika.

Spojrzał na nią z uśmiechem, któremu żadna kobieta nie mogłaby się oprzeć, ale Gytha nie poruszyła się nawet.

- Myślę, że... może lepiej... pójdę już do domu. Lord Locke zastanawiał się jak jej pomóc.

Nagle uświadomił sobie, że nieoczekiwana propozycja może być rozwiązaniem problemu z Zuleiką. Prośba Gythy tak go zdziwiła i wprawiła w zakłopotanie, że na chwilę zapomniał o własnych sprawach. Teraz poczuł, jakby elementy układanki zaczęły do siebie pasować. Dowiedziawszy się o zaręczynach, Zuleika przestałaby może zachowywać się w tak skandaliczny sposób. Za dwa miesiące przelałaby swe uczucia na kogoś innego.

- Proszę podejść i usiąść tutaj - powiedział. Stanowczy ton w jego głosie kazał usłuchać.

Czuł, że zbliża się do niego niepewnym krokiem. Była zupełnie jak małe zwierzątko, które boi się, że wpadnie w pułapkę. Znowu siadła na skraju kanapy i utkwiała w lordzie swe strapione spojrzenie.

Lord Locke pomyślał, że jest ona jedną z najładniejszych młodych kobiet jakie ostatnio widział. Zwrócił się do niej ze słowami:

- Omówmy to dokładnie. Dziadek chce uczynić panią swoją spadkobierczynią, lecz nalega, by poślubiła pani jednego z kuzynów, ponieważ obawia się łowców posagów.

Zamilkł, a Gytha odezwała się niepewnym głosem:

- Owszem, tego się obawia. Lecz pana nie mógłby zaliczyć do tej kategorii.

- To prawda - zgodził się lord - lecz ponieważ nasze rodziny od lat toczą zaciętą wojnę, nie ma pewności, czy zaaprobowałby nasze małżeństwo.

- Myślałam już o tym... idąc tu - rzekła Gytha - ale mam wrażenie... choć mogę się mylić... że dziadkowi zawsze imponowała pana odwaga.

Mówiła to z wielkim poruszeniem.

- Był ogromnie dumny z taty... a jeśli chodzi o Vincenta i Jonathana... to zawsze miałam wrażenie, że gardzi nimi, za to, iż nie uczestniczyli w wojnie.

- Rozumiem panią - powiedział lord Locke - ale wątpię, czy przyjąłby mnie z otwartymi ramionami. Może jednak zgodziłby się przystać na tajne zaręczyny, co chociaż dałoby nam trochę czasu. Jakby w odpowiedzi na jego pytanie Gytha oznajmiła:

- Lekarze są pewni, że... dziadek nie pożyje dłużej... niż dwa miesiące, jeśli... nie krócej.

Zapadła cisza, po czym dodała:

- Wiem jednak, że niegrzecznie z mojej strony było przychodzić tu i niepokoić pana.

- Uważam pani zachowanie za rozsądne. Rzeczywiście, mam wobec pani ojca dług wdzięczności, którego pewnie nigdy nie uda mi się do końca spłacić.

- Może nie powinnam... przypominać panu... o tym.

- Nie, miała pani rację, absolutną rację - rzekł stanowczo lord Locke - i dlatego, panno Sullivan, jestem gotów zrobić to, o co pani prosi, pod warunkiem, że nasze zaręczyny będą trwały tylko do śmierci dziadka. Gytha złożyła ręce i wyszeptała:

- Naprawdę... zrobi to pan... naprawdę?

- Naprawdę - odpowiedział lord Locke - a ponieważ rozegrała pani całą tę sprawę tak sprytnie, liczę że i teraz poradzi mi pani, jak mam postąpić z dziadkiem.

- Najpierw pragnę z całego serca panu podziękować - rzekła Gytha. - Gdyby pan odmówił, postanowiłam sobie, że prędzej zabiję się, niż poślubię któregoś z mych okropnych kuzynów.

- Nie wolno pani tak mówić! - wykrzyknął lord Locke. - Jest pani taka młoda i śliczna, i jestem przekonany, że czeka panią cudowne, interesujące życie.

Uśmiechnął się i dorzucił:

- To była dopiero pierwsza przeszkoda do pokonania. Niewątpliwie w życiu napotka ich pani jeszcze wiele.

Gytha nieśmiało uśmiechnęła się do niego i powiedziała:

- Jeśli będę pokonywała przeszkody z taką łatwością jak pański koń w dzisiejszej gonitwie, to już nigdy nie będę musiała się o nic martwić.

- Mam szczerą nadzieję, że tak właśnie się stanie - stwierdził lord. - A tymczasem panno; Sullivan - lub może raczej powinienem zwracać się do pani po imieniu, ponieważ jesteśmy już! zaręczeni - od czego mam zacząć.

- Myślę, że skoro jutro przyjeżdżają moi; kuzyni - odpowiedziała Gytha - powinien pan spotkać się z dziadkiem dziś wieczorem. Rano czuje się zwykle nie najlepiej.

- Rozumiem - rzekł lord Locke - pojedziemy więc teraz razem do Sullivan Hall.

Gytha wzięła głęboki oddech. Z wyrazu jej oczu wyczytał, że tego właśnie pragnęła.

Lord Locke spojrział na zegarek i nagle wpadł mu do głowy pewien pomysł.

- Pójdę porozmawiać z pani dziadkiem, ale byłbym niezmiernie wdzięczny, gdyby zgodziła się pani zjeść ze mną kolację dziś wieczorem.

- Zjeść z panem kolację?

Czuł, że była zaskoczona jego propozycją.

- Z pewnością tak byśmy postąpili, gdybyśmy faktycznie byli parą narzeczonych - dorzucił.

- Chyba tak, ale pańscy goście mogą być zdziwieni moją obecnością.

- Proponuję - powiedział lord - by nasze zaręczyny zachować w tajemnicy. Powiemy o nich jedynie kilku najbliższym przyjaciółom.

Gytha przytaknęła na znak, że się zgadza, a on kontynuował:

- Wiadomość o nich nie wzbudzi takiej sensacji, jeśli wcześniej będziemy się pokazywać razem w towarzystwie. Gdyby nagle pojawiła się pani u mego boku, niczym postać z bajki, o której nikt nigdy wcześniej nie słyszał, wówczas wszyscy zaczęliby wietrzyć w tym jakiś podstęp.

- Tak, doskonale rozumiem - wyszeptała Gytha nerwowo.

Nagle zdała sobie sprawę, że nawet w najśmielszych marzeniach nie przypuszczała, iż mogłaby kiedyś zaistnieć w życiu lorda. Zawsze pragnęła, by on pojawił się w jej życiu jak Perseusz ratujący Andromedę.

Dziewczyna była na tyle inteligentna, by od razu zrozumieć intencje lorda.

- Jeśli pan naprawdę sobie tego życzy, naturalnie będę panu towarzyszyć na kolacji, lecz boję się, by nie przynieść

panu wstydu, ponieważ nie przywykłam do bywania na balach i przyjęciach.

- Jestem pewien, że to niemożliwe - rzekł lord - a tymczasem zdecydujemy się w jaki sposób dostaniemy się do waszej posiadłości.

- Ja przyjechałam tu konno.

- To nam ułatwia sprawę. Dużo szybciej dotrzemy na miejsce konno, jadąc na skróty przez wieś - powiedział i jednocześnie wcisnął dzwonek przy kominku, wzywając lokaja.

Gdy Bates ukazał się w progu, lord rozkazał:

- Jadę z panną Sullivan do jej posiadłości.

Proszę natychmiast przygotować dla mnie konia i powiedzieć panu Stevensonowi, że panna Sullivan będzie moim gościem na kolacji.

- Zgodnie z rozkazem, milordzie.

Bates był zbyt dobrze wyszkolony, by zdradzić swe zdziwienie. Jednak jego oczy nie zdołały ukryć odrobiny zaintrygowania. Gdy zamknął za sobą drzwi, lord zaproponował:

- Teraz panno Gytho, proponuję, by wypić pani lampkę szampana. Nie tylko dlatego, że dobrze to pani zrobi, ale jest to również wyśmienita okazja do wzniesienia toastu za sukces naszej małej intrygi.

Mówiąc to podszedł do barku i sięgnął po otwartą butelkę znajdującą się w srebrnym kubelku. Nalał szampana do dwóch kieliszków. Jeden z nich podał Gythcie.

Gdy dziewczyna wstała z fotela, wydała mu się taka delikatna i bezbronna. Zanim zdążył coś powiedzieć uniosła kieliszek i zwróciła się do niego ze słowami:

- Za Herkulesa i jego pana! Lord Locke roześmiał się.

- Ubiegła mnie pani. To ja chciałem wznieść toast za pani zdrowie. Mam nadzieję, że obojgu nam się poszczęści, tak jak

Herkulesowi. Muszę również przyznać, iż wykazała się pani dużą odwagą przychodząc tu i prosząc mnie o pomoc.

- Bardzo się bałam - przyznała Gytha - i, szczerze mówiąc, wciąż się pana lękam.

- Tak naprawdę, to ja powinienem się obawiać - powiedział lord - zawsze uważałem pani dziadka za okrutnego i groźnego wroga.

Mimo że częściowo podzielała tę opinię, próbowała usprawiedliwiać dziadka:

- Jest bardzo stary i schorowany, ale nie przyjmuje tego do wiadomości.

Po chwili nadszedł Bates i obwieścił, że przyprowadzono już konie.

- Ruszajmy więc - zarządził lord Locke. Puścił Gythę przodem i wyszli z gabinetu. Gdy znaleźli się w hallu, dziewczyna ujrzała wysokiego przystojnego mężczyznę.

- Słyszałem, że gdzieś się wybierasz, Valianie - ów nieznajomy zwrócił się do lorda.

Mówiąc to zatrzymał spojrzenie na Gythcie.

- Owszem, mam coś ważnego do załatwienia, Perry - odpowiedział lord Locke.

- Jeśli się spóźnię, proszę zajmij się gośćmi do mojego powrotu.

Perry uniósł brwi ze zdziwieniem.

- Panna Sullivan zje dziś z nami kolację - dodał.

Po chwili zwrócił się do Gythy, która oddaliła się nieco.

- Pragnę przedstawić pani mego wielkiego przyjaciela, Peregrina Westingtona, który również walczył pod dowództwem pani ojca w Portugalii.

Na wspomnienie taty w jej oczach pojawił się błysk.

- Może kiedyś moglibyśmy porozmawiać o nim? - spytała.

- Z wielką przyjemnością - odparł Perry. Lord Locke dostrzegł konie czekające na dole.

Poprowadził Gythę w ich stronę. Zauważył, że Perry przygląda się im wyraźnie zaintrygowany.

Gytha wiedziała, że mają niewiele czasu. Pomknęli więc szybkim kłusem prosto przez pola. Skróciło to znacznie drogę między posiadłościami. Jazda główną drogą trwałaby znacznie dłużej.

Ważka spisywał się bardzo dzielnie. W żadnym jednak razie nie mógł równać się z koniem lorda. Był on niemal tak doskonały, jak czarny ogier, na którym wygrał wyścigi. W miarę jak zbliżali się do domu, Gytha czuła coraz większą trwogę. Nie wyobrażała sobie co zrobi, jeśli dziadek wpadnie w furję, lub jeśli wyprosi lorda Locke'a z domu. Wiedziała do czego jest w stanie się posunąć, więc obawiała się, że może wezwać służbę, by wyrzuciła go siłą. Gdy tak rozmyślała, instynkt, który nigdy jej nie zawodził, podpowiedział dziewczynie, że w głębi serca dziadek gardził swymi bratankami. Nie podobało mu się, że to właśnie oni będą mogli rozporządzać jego pieniędzmi.

Gdy dotarli do drzwi frontowych, stajenny podbiegł i odprowadził konie. Na jego twarzy malowało się wyraźne zdziwienie na widok lorda Locke'a u boku Gythy.

Przypomniało jej to o wojnie, jaką obie rodziny toczyły od lat. Nie utrzymywały one ze sobą żadnych kontaktów, oprócz listów z obelgami.

Weszli razem po schodach. Lord Locke odezwał się wesołym głosem:

- Proszę się nie bać. To jest nasza mała bitwa pod Waterloo i to my będziemy w niej zwycięzcami.

Gytha uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością. Głos jej jednak dziwnie drżał, gdy zwróciła się do jednego z lokajów:

- Gdzie jest sir Robert?

- W bibliotece, panienko - odrzekł. - Niedawno pytał o panienkę.

Gytha ruszyła w stronę biblioteki, a lord Locke podążył za nią.

Idąc, zdjęła dżokejkę. Wysypały się spod niej włosy, które wydawały się świecić w ciemności korytarza niczym promień słońca.

Lokaj otworzył im drzwi i weszli do środka. Dziewczyna ujrzała swego dziadka na wózku. Siedział przy oknie i podziwiał zachód słońca. Spojrzenie miał gniewne i zachmurzone. Był wyraźnie zły, ponieważ nie było jej przy nim, gdy była potrzebna. Gytha uspokoiła się jednak widząc, że nie ma przy nim Dobsona. Ruszyła w jego stronę. Sir Robert odwrócił się i rzekł szorstkim głosem:

- A więc jesteś wreszcie.

Wtedy właśnie ujrzał stojącego za nią lorda Locke'a. Wpatrywał się w niego z nieukrywaną ciekawością. Gytha zbliżyła się do dziadka, po czym wyjaśniła cichym, przestraszonym głosem:

- Przeprowadziłam lorda Locke'a, dziadku, by ci go przedstawić i oznajmić, że jesteśmy zaręczeni i zamierzamy się pobrać.

- Locke? Czy powiedziałaś Locke? - wrzasnął starzec.

Lord Locke wyciągnął do niego rękę na przywitanie.

- Niezmiernie miło mi pana poznać, sir Robercie. Czekałem na tę chwilę od lat. Pewien jestem, że zgodzi się pan ze mną, iż czas najwyższy położyć kres tej bezsensownej wojnie, która poróżniła nasze rodziny.

Sir Robert nie odrywał od niego wzroku.

- Czy chcesz powiedzieć, że jesteś owym młodym człowiekiem, do którego należy teraz Locke Hall, gdzie moja noga nie stanęła od przeszło dwudziestu pięciu lat.

- Tak, we własnej osobie, sir Robercie. Teraz, gdy mój ojciec nie żyje, pragnę poślubić pańską wnuczkę i w celu pojednania złożyć ofiarę w postaci Lasu Monk.

- Ofiarę w celu pojednania? Co do diabła ma to znaczyć! - krzyknął sir Robert - Las Monk należy do mnie i zawsze tak było!

- Tak więc mogę zapewnić, że zrzekam się wszelkich praw do niego i obiecuję, iż nie będzie już dłużej figurować na mapie posiadłości Locke'ów.

- Mam taką nadzieję - warknął sir Robert. - Było to z waszej strony haniebne, że traktowaliście go jako swoją własność.

- Jestem gotów się z panem zgodzić - odpowiedział lord łagodnym tonem.

- Czyżby? Schlebia mi pan tylko po to, by dostać moją wnuczkę.

- Niesłusznie mnie pan o to posądza. Bynajmniej nie o to mi chodzi. Gytha rzeczywiście jest wyjątkowo czarującą dziewczyną.

- Pewnie ma pan też na oku posag, który otrzyma po mej śmierci - sir Robert rzekł szorstko.

- Wprost przeciwnie, sir - stwierdził lord Locke - mój ojciec zostawił mi pokaźny majątek. Nie interesuje mnie jakie wiano wniesie moja przyszła żona.

- Pokaźny majątek? - spytał sir Robert z zainteresowaniem. - Zawsze byłem ciekaw, czy Locke rzeczywiście był tak majątny jak utrzymywał.

- Mogę pana zapewnić, sir, że wszystkie historie o jego bogactwie nie były ani trochę przesadzone.

Na chwilę zapadła cisza. Gytha bała się, że dziadek obrazi czymś lorda. Położyła dłoń na jego ramieniu i poprosiła:

- Dziadku, pozwól mi zaręczyć się z lordem Locke'em.

- Zastanawiam się - powiedział sir Robert przenikliwie - jak miałaś czelność nawiązać znajomość z tym człowiekiem wiedząc, że w naszym domu nie wolno wymawiać nawet jego nazwiska.

- Bądźmy ze sobą szczerzy, dziadku - rzekła Gytha łagodnie - mogę pójść z tobą o zakład, że wiesz już jak rewelacyjnie spisał się lord Locke w wyścigu, który odbył się dziś rano na terenie jego posiadłości.

- Z tego co słyszałem, finisz był zacięty - mruknął sir Robert.

Gytha wydała okrzyk zachwytu:

- Więc jednak wiesz! Byłam pewna, że zainteresuje cię wynik dzisiejszej gonitwy. Szkoda, że jej nie widziałeś. Była niezmiernie emocjonująca, a przeszkody wyższe niż kiedykolwiek przedtem.

Dziadek rzucił na nią ostre spojrzenie. Te słowa potwierdziły jego podejrzenie, że przyglądała się również innym zawodom, które odbywały się na terytorium Locke'ów, gdzie wstęp miała kategorycznie zakazany.

Wówczas, jako że wszystko wydawało się układać po ich myśli, gotowy do wyrecytowania swej kwestii, lord Locke rzekł:

- Chciałbym, sir Robercie, oczywiście jeśli to pana zainteresuje, przyjechać tu pewnego dnia na swym ogierze, który przyniósł mi zwycięstwo w wyścigu, by mógł go pan obejrzeć. Wierzę, że jest to wyjątkowy koń i pańska opinia na jego temat będzie dla mnie niezwykle cenna.

- Naprawdę? - spytał sir Robert. - Niestety, nie mogę ruszyć się z tego przekłętego wózka i najlepiej byłoby, gdyby przyprowadziłby pan to zwierzę tutaj. O ile dobrze orientuję się w stanie swego zdrowia, to im prędzej pan to zrobi, tym lepiej.

Jego słowa potwierdziły obawy Gythy, że starzec zdawał sobie sprawę ze stanu swego zdrowia. Nikt nie odważył się przekazać mu opinii lekarza.

Ponieważ dziadek okazał się tak uległy, dziewczyna rzekła:

- Teraz, gdy poznałeś lorda, dziadku, i wiesz jakim jest wyśmienitym jeźdźcem, zrozumiesz, dlaczego chcę go poślubić.

Sir Robert spojrział na nią spod krzaczastych brwi.

- Mam rozumieć, że wolisz wyjść za niego niż za któregoś z twych kuzynów?

- Służył pod dowództwem taty - odpowiedziała Gytha - i, dowiedziałam się o tym niedawno... podobno ojciec uratował mu życie.

- Tak, to prawda.

- A więc wiedziałeś? Nigdy mi o tym nie mówiłeś.

- Zawsze powtarzałem synowi, że popełnił wielki błąd - sir Robert rzucił szorstko.

Jednak lord Locke dostrzegł w jego oczach błysk, więc uśmiechnął się i oznajmił:

- Osobiście bardzo cieszę się, że wciąż żyję i myślę, że to właśnie los połączył mnie z Gythą.

- Jeśli chcecie usłyszeć moje zdanie, to uważam za szkaradne spiskowanie za plecami starszej osoby - warknął sir Robert.

- Musisz nam wybaczyć dziadku - rzekła Gytha.

- Sam nie wiem - wahał się sir Robert. - Jedno jest pewne; w takich sprawach nie ma pośpiechu. Jeśli mężczyzna jest dobrym jeźdźcem, to niekoniecznie musi sprawdzić się w roli męża.

Zapadła kłopotliwa cisza, po czym Gytha odezwała się drżącym głosem:

- Jeśli zgodzisz się na nasze zaręczyny i pozwolisz, by utrzymać je w tajemnicy do czasu, gdy poznasz lepiej lorda Locke'a to wówczas możemy powiedzieć Vincentowi i Jonathanowi, że nie ma sensu, by ubiegali się dłużej o moją rękę - głos Gythy załamał się, gdy wypowiadała ostatnie słowa.

Lord Locke zrozumiał jak bardzo była przerażona. Nie zdziwiły go więc wcale słowa sir Roberta:

- A więc to tak! By uniknąć małżeństwa z którymś z kuzynów, gotowa jesteś przyjąć zaloty pierwszego lepszego młokosa!

- Dziadku, to nie fair! - krzyknęła Gytha - a poza tym jak możesz nazywać młokosem lorda Locka, który walczył na wojnie i otrzymał tyle wysokich odznaczeń.

Starzec nie odpowiedział. Gytha pomyślała, że trochę zawstydził się swych słów. Ale nie chcąc okazać tego, ryknął:

- Zróbcie jak chcecie, ale możesz być pewna, że nie ogłoszę zaręczyn, dopóki nie poznam Locke'a lepiej i nie upewnię się, iż nie próbuje przekupić mnie lasem, który i tak jest mój.

- Chciałbym zwrócić panu uwagę, sir - rzekł lord Locke - że gdy poślubię Gythę, obie posiadłości zostaną połączone i nasz wspólny majątek stanie się największy i najbardziej znaczący w całym hrabstwie.

Gytha wiedziała, że był to argument przekonujący. Jedyny, który naprawdę mógł dotrzeć do dziadka. Jednak, by nie wyglądało, że zbyt łatwo godzi się na propozycję lorda, powiedział:

- Zaręczyny mają pozostać w tajemnicy i ani słowa nikomu, rozumiesz? Ani słowa! Nie chcę, by rozdmuchano tę sprawę w gazecie, dopóki nie poznam cię lepiej, młody człowieku, i jest to także w twoim interesie.

Następnie, zanim lord Locke zdążył odezwać się, starzec krzyknął:

- Jestem zmęczony! Pora spać. Gdzie jest Dobson?

W progu natychmiast pojawił się lokaj. Gytha wiedziała, że jak zwykle podsłuchiwał pod drzwiami. Podeszedł do wózka i rzekł:

- Jestem, sir Robercie. Czas położyć się do łóżka.

- Wiem, ty głupcze! - burknął sir Robert. - Właśnie to powiedziałem! Zabierz mnie na górę!

Gytha pochyliła się nad dziadkiem i pocałowała go w policzek.

- Dobranoc, dziadku. Dziękuję, że byłeś dla nas taki miły. Ja i lord Locke postąpimy dokładnie tak, jak każesz.

- Weźcie sobie do serca moje słowa - odrzekł starzec - albo skończę to wasze gruchanie i poślubisz tego, kogo ja ci wybrałem.

Rzuciwszy na pożegnanie ów złośliwy docinek, wyjechał z pokoju na wózku pchanym przez Dobsona. Przez jakiś czas słyszeli jego głos grzmiący na lokaja, który wiozł go korytarzem.

Gytha poczuła, że nogi ma jak z waty. Usiadła w fotelu.

- Przepraszam - odezwała się słabym głosem.

- Czy on jest zawsze taki kłótniwy? - lord Locke zapytał ze współczuciem.

- Kłótniwy! - odpowiedziała Gytha. - Zapewniam pana, że był wyjątkowo czarujący, zupełnie inny niż zwykle.

Westchnęła.

- Dziadek wiecznie wygłasza kazania, wrzeszczy, obrzuca wszystkich obelgami i karci - i to na ogół niesłusznie.

- A pani musiała to wszystko znosić od dawna?

- Tak... odkąd mama umarła. Wytrzymać z nim pod jednym dachem jest naprawdę ciężko - wyszeptała.

- Rozumiem. Ale przynajmniej dziś wieczór ma pani szansę na odmianę - rzekł lord Locke. Ruszając w stronę drzwi dorzucił:

- Proszę iść na górę i przebrać się, panno Gytho, tak, by wyglądała pani dziś wieczór najpiękniej jak tylko jest to możliwe. Za godzinę przyślę po panią powóz.

- Mogę wziąć... powóz dziadka - zaproponowała dziewczyna bez przekonania.

- Obawiam się, że dziadek rozzłościłby się dowiedziawszy, iż ktoś wziął konie bez jego pozwolenia - odpowiedział lord Locke - natomiast moim przyda się niewielki trening!

- Proszę się tylko nie spóźnić, ponieważ jest ktoś, kogo chcę by pani poznała przed kolacją.

Nie zdradził, kto to taki. Zanim Gytha zdołała zadać jakieś pytanie, lord Locke opuścił dom Sullivanów.

Nawet nie zdążyłam mu podziękować - pomyślała. - Ale przecież będę to mogła zrobić dziś wieczorem.

Jednak gdy tylko znalazła się na górze, zaczęła żałować, że przyjęła zaproszenie na kolację w Locke Hall. Była przekonana, że w posiadłości lorda szykuje się ogromne przyjęcie. Trudno będzie wyjaśnić jej obecność. Przypuszczała, że inni znajomi z sąsiedztwa również będą zaproszeni. Na pewno zdziwią się widząc ją w towarzystwie lorda Locke'a. Ta cała sytuacja była zbyt skomplikowana. Jednocześnie nie mogła wprost uwierzyć, że jej plan się powiódł. Dziadek nie upierał się dłużej, by poślubiła jednego z kuzynów. Lord Locke z pewnością uważał, że bardzo ciężko się z nim porozumieć. Gytha nie pamiętała jednak, by starzec kiedykolwiek wcześniej był tak zgodny jak dziś.

Na swój sposób na pewno cieszył się z tego rozwiązania.

- Jemu naprawdę spodobał się pomysł - dumiała - małżeństwa wnuczki z lordem Locke'em i połączenie obu

posiadłości. Co prawda, nieładnie jest oszukiwać umierającego człowieka, ale przetłumaczyła sobie, że na pewno zostanie z tej winy rozgrzeszona. Nie mogłoby przecież spotkać ją większe nieszczęście niż poślubienie jednego z kuzynów.

- Co panienka zamierza założyć na kolację? - spytała pokojówka, która od dziecka była w jej domu. Gytha ocknęła się w przykrej rzeczywistości. Będzie gościem na wystawnej kolacji, w gronie przyjaciół lorda Locke'a, a nie ma zupełnie w co się ubrać. Nigdy nie czuła potrzeby kupowania eleganckich sukien. Nawet jeśli przekonałaby dziadka, by sprawił jej jakieś wytworne kreacje, to i tak nie miałyby okazji ich zakładać. Obiady jadała w samotności, w salonie, do którego wchodziło się bezpośrednio z jej sypialni.

Od czasu do czasu, gdy przyjeżdżali kuzyni lub inni goście, zasiadała wspólnie do posiłków w jadalni.

- Nie mogę wybrać się do Locke Hall. Przecież nie pojawię się tam w codziennej sukni - Gytha pomyślała przerażona. Jak mogła pojawić się na wystawnym przyjęciu ubrana jak Kopciuszek lub nawet gorzej. W dodatku lord Locke zamierza oznajmić najbliższym przyjaciołom, że postanowili się zaręczyć. Wiedziała, że nie może go rozczarować. Był taki dobry i wyrozumiały.

W końcu pozwoliła Emily wybrać dla siebie prostą muślinową suknię, ozdobioną wzorem w gałązki. Szwaczka, która przychodziła do domu by naprawiać bieliznę, uszyła ją dla niej. Muślin pochodził ze zwoju, który matka kupiła kilka lat przed śmiercią. Krawcowa wybrała wzór z katalogu.

Podpis pod zdjęciem głosił, że jest to fason popularny wśród najpiękniejszych panien w Londynie. Gytha uznała takie stwierdzenie za przesadzone. Jednakże była to najlepsza kreacja jaką w ogóle posiadała. Osoba tak szczupła jak ona

wyglądała w sukni wyjątkowo młodzieńczo i jednocześnie ulotnie, zupełnie jak leśna nimfa, nie jak ludzka istota.

Bładozielone wstążki w kolorze młodych liści krzyżowały się nad jej piersią i opadały w dół. Brzegi sukni oraz niewielkie bufiaste rękawy zdobiły falbanki wykonane z tego samego materiału. Suknia wykończona była cienką cieniowaną wstążką, która wyglądała jak wyczarowana przez wróżkę.

Z biżuterii Gytha posiadała jedynie naszyjnik z drobnych pereł. Ojciec podarował go matce w pierwszą rocznicę ślubu. Rzadko miał okazję dawać żonie prezenty, ponieważ sir Robert rezerwował sobie prawo obdarowywania rodziny.

Gdy Gytha założyła naszyjnik, pomodliła się, by matka prowadziła ją przez życie i chroniła. Była pewna, że to ojciec ocalił ją przed poślubieniem jednego z kuzynów.

Zmówiła za rodziców krótki pacierz:

- Dziękuję ci tato, za ocalenie życia lordowi Locke'owi. Dzięki temu czuje się zobowiązany, pośpieszyć mi z pomocą. Pomóż mi mamó, bym nie przyniosła mu wstydu dziś wieczór.

Powóz, który nadszedł był o wiele większy i bardziej luksusowy niż sobie wyobrażała. Konie okazały się dużo wspanialsze od rumaków znajdujących się w stajni dziadka. Nim ruszyli w drogę, lokaj okrył jej kolana futrzanym pledem. Żałowała, że nie może opanować strachu i zażenowania. Przeżywała przygodę o jakiej zawsze marzyła i pragnęła kiedyś opowiedzieć ją swym dzieciom. Oczywiście myśl, że znowu będzie gościem w Locke Hall niezmiernie ją ekscytowała. Dziś była tam po raz pierwszy w swoim życiu. Ponownie będzie mogła rozmawiać i patrzeć na lorda. Nigdy nie myślała, obserwując jego sukcesy w wyścigach i polowaniach, że kiedyś będzie miała zaszczyt z nim rozmawiać. Nie mówiąc już o tym, że nawet w najskrytszych

marzeniach nie pomyślała, że kiedykolwiek zaręczy się z lordem Locke'em.

- Jestem wdzięczna... taka wdzięczna - wyszeptała.

Powóz skręcił w stronę dziedzińca znajdującego się przed rezydencją. Dostrzegła, że na szarych, kamiennych schodach rozłożono czerwony dywan. Przez otwarte drzwi frontowe biło światło. W progu czekał już lokaj w wyszukanej liberii.

Czuła jak serce biło jej niespokojnie. Była tak onieśmielona, że chciała uciec i ukryć się gdzieś. Uratowała ją przed tym duma.

Wysiadła z powozu i ruszyła wolno i z godnością po schodach usłanych czerwonym dywanem.

Doszła do bijącego olśniewającym światłem holu.

- Dobry wieczór, panienko - rzekł Bates okazując uszanowanie. - Niezmiernie mi miło powitać panienkę ponownie w naszych progach.

Posłała mu ledwie dostrzegalny uśmiech. Poprowadził ją korytarzem do drzwi, które, jak przypuszczała, prowadziły do salonu.

Zatrzymali się jednak w miejscu, w którym była już tego popołudnia - przed gabinetem lorda.

- Panna Gytha Sullivan! - zaanonsował ją Bates.

Gytha weszła i ujrzała w pokoju dwóch mężczyzn. Jednym z nich był sam lord Locke, olśniewający w swym wieczorowym stroju. Obok stał młody mężczyzna o imieniu Perry, którego dziewczyna miała przyjemność już poznać dzisiejszego popołudnia. Lord Locke podszedł do dziewczyny. Ze zdziwieniem poczuła, że ujął jej dłoń i z szacunkiem uniósł do ust.

- Jest pani niezwykle punktualna - rzekł - i jestem za to wdzięczny.

- Właśnie dowiedziałem się o waszych zaręczynach, panno Sullivan - wtrącił Perry - więc pragnę pogratulować mojemu przyjacielowi i życzyć wszystkiego najlepszego.

- Dziękuję - wyszeptała Gytha.

- Chcę ci powiedzieć... - zaczął lord Locke. Zanim zdążył powiedzieć cokolwiek więcej, drzwi otworzyły się. Ukazała się w nich najpiękniejsza kobieta, jaką Gytha mogła sobie wyobrazić. Miała na sobie fantastyczną suknię. Jednakże wielki dekolt i niemal przezroczysta spódnica przekraczały granice przyzwoitości. Bizuteria, którą nosiła warta była majątek. Kobieta ruszyła z kocią gracją w stronę lorda Locke'a i wsunęła mu rękę pod ramię.

- Powiedziano mi, że pragniesz mnie widzieć w ważnej sprawie, Valiancie - oznajmiła aksamitnym głosem - i sądziłam, że wreszcie będziemy sami.

- Owszem, prosiłem byś przyszła do mnie, zanim udasz się do salonu - odpowiedział lord Locke - ponieważ chcę podzielić się z tobą poufną wiadomością.

- Jaki sekret zamierzasz mi powierzyć, najdroższy? - spytała Zuleika.

- Pragnę - lord Locke odrzekł spokojnie - przedstawić ci moją narzeczoną, pannę Gythę Sullivan.

Zapadła dziwna cisza i Gytha poczuła, że wszyscy w pokoju zamarli niczym głazy. Następnie lord Locke zdobył się na wysiłek i dodał:

- Gytho, oto moja przyjaciółka z dawnych lat, księżniczka Zuleika El Saladin. - Chciałbym, by ona właśnie oraz mój przyjaciel Perry, którego miałaś przyjemność spotkać dziś po południu, jako pierwsi złożyli nam gratulacje.

Znów zapadła brzemienne cisza. Gytha spojrzała na księżniczkę i zauważyła, że jej ciemne oczy nagle zwęziły się. Jej twarz wyrażała coś więcej niż tylko zdziwienie. Zdradzała

podłość i zło. Księżniczka powiedziała sztucznie słodkim głosem:

- To ogromna niespodzianka. Cóż, życzę ci szczęścia i pomyślności z tak czarującą i niezwykle młodą panną.

Gdy mówiła to, Gytha poczuła, że ma w niej bezlitosnego i nieprzejednanego wroga. Była groźna niczym kobra.

Rozdział 4

Obudzwszy się rano Gytha długo leżała w łóżku przypominając sobie wydarzenia zeszłego wieczoru. Przyjęcie było wyśmienite. Bawiła się doskonale. Kolację podano w wytwornej jadalni.

Gytha obawiała się, że zrobi wrażenie prowincjonalnej, pozbawionej ogłady dziewczyny, która nie potrafi znaleźć się w wytwornym towarzystwie. Na szczęście, po jej lewej stronie przy stole usiadł Perry i natychmiast zaczął rozmowę o koniach. Po chwili włączył się do niej sam lord Locke, zajmujący miejsce po prawej stronie Gythy. Konie były jedyną i największą pasją dziewczyny. Nie tylko kochała je, lecz także mnóstwo o nich czytała. Uważnie śledziła w gazetach wszystkie sprawozdania z wyścigów konnych. Studiowała również historię wyścigów na przestrzeni wieków. Nie było to trudne, gdyż cała biblioteka ojca została przeniesiona do domu dziadka. Zawierała ona bogate zbiory książek dotyczących hodowli. Znajdowały się w niej tomy opisujące historię zaprzęgów od czasów rzymskich rydwanów. Dlatego też z łatwością przyszła jej rozmowa na ten temat. Wiedziała doskonale, w których wyścigach zwycięstwo odniósł lord Locke. Szybko zorientowała się, jak bardzo wszyscy obecni na przyjęciu mężczyźni fascynowali się tym właśnie sportem.

Zainteresowania Gythy nie ograniczały się tylko do koni. Jej matka pasjonowała się religiami Wschodu. Dziadek ze strony matki był wielkim podróżnikiem. Zwiedził kraje, do których niewielu białym udało się dotrzeć. Spisał wrażenia z podróży oraz wszystkie najciekawsze przygody. Jednak jego rękopis był niemal nieczytelny i Gytha własnoręcznie przekaligrafowała stronicę po stronicy. Sprawilo jej to ogromną radość, a każde stawiane na papierze słowo wręcz chwycalo za serce.

Temat wojny z Napoleonem budził szczególne emocje dziewczyny. Głównie dlatego, że jej ojciec walczył w armii. Przeczytała dosłownie wszystko, co ukazało się drukiem o księciu Wellingtonie i Napoleonie Bonaparte.

Okazało się więc, że miała wiele wspólnych tematów do rozmowy z partnerami. Przez cały wieczór nawet przez chwilę nie pomyślała o tym, czy dobrze wygląda. Przestała też obawiać się, że zostanie odebrana jako osoba wyjątkowo nieśmiała.

Lecz gdy damy opuściły mężczyzn i przeszły do salonu, dotkliwie odczuła obecność księżniczki Zuleiki. Lord Locke przed kolacją zarządził, że wszystkie obecne panie zostaną posadzone na przemian z mężczyznami. Poprosił księżniczkę Zuleikę, by zajęła miejsce w przeciwnym końcu stołu. Gdy usłyszała to, jej ciemne oczy zapłonęły. Uznała, że świadomie ją odtrąca. Nie sprzeciwiała się jednak. U boku lorda Locke'a, oprócz Gythy usiadła wyjątkowo atrakcyjna, druga żona lorda Lieutenanta, która desperacko pragnęła dać mężowi potomka.

Oczywiście, gości przybyłych z sąsiedztwa wielce zdziwił fakt, że taka młoda dziewczyna zajmuje honorowe miejsce przy gospodarzu. Tylko Gytha wiedziała, że lord pragnął w ten sposób podkreślić wagę tajemnicy, którą powierzył Zuleice.

Dziewczyna szybko zrozumiała, że księżniczka pała do lorda gorącym uczuciem. Najwyraźniej uważała, że jest on jej wyłączną własnością.

Gytha pomyślała z pokorą, że lord był gotów pomóc jej, by spłacić w ten sposób dług wdzięczności za uratowanie życia. Czuła, że w przeszłości nie udało mu się oprzeć zalotom księżniczki i uległ jej egzotycznemu urokowi. Spełnienie prośby Gythy wymagało od niego odwagi i kosztowało wiele wyrzeczeń. Zastanawiała się tylko, dlaczego nie wyznał Zuleice prawdy, skoro byli tak bliskimi

przyjaciółmi. Potem doszła do wniosku, że mądrze postąpił nie zwierzać się nikomu. Nikt, nawet księżniczka, nie mógł wiedzieć, że jego zaręczyny kryją w sobie coś tajemniczego. Żadna kobieta nie potrafiłaby zatrzymać dla siebie tak sensacyjnej wiadomości. Jakże pikantna byłaby dla londyńskiego towarzystwa historia o lordzie Locke'u splacającym w tak nietypowy sposób dług honorowy.

Gytha z ulgą pomyślała, że nikt nie dowie się prawdy aż do śmierci dziadka. Oznaczało to, że przynajmniej do tego czasu nic jej nie grozi ze strony Vincenta i Jonathana.

Nagle inna myśl przemknęła dziewczynie przez głowę. Kiedy kuzyni dowiedzą się, że nie jest już chroniona przez lorda Locke'a, mogą znów zacząć rościć sobie prawa do majątku. Do tego czasu jednak była bezpieczna i mogła spokojnie opracować dalszy plan działania.

Może uda się znaleźć kogoś, kto będzie bronił jej od łowców posagów i od innych groźnych prześladowców.

Gdy lord Locke wprowadził Gythę do salonu w towarzystwie Perry'ego, Zuleika udawała, że jej nie dostrzega. Zgromadziła się tam już duża grupa gości. Przybyły między innymi dwie nader atrakcyjne damy, które przedstawiono panie Sullivan jako lady Compton i hrabinę Blackstone. Zmierzyły ją od stóp do głów pogardliwym spojrzeniem, uważając za wiejską dziewczynę niegodną uwagi. Po tym, jak je sobie przedstawiono, nie czyniły już dalszych wysiłków, by podtrzymać z nią rozmowę.

Goście z sąsiedztwa nie ukrywali zdziwienia widząc Gythę.

Od śmierci matki żyła samotnie z dziadkiem, który całkowicie odizolował ją od reszty świata.

Dlatego też była dla wszystkich zupełnie obcą osobą. Jedynie lady Wakefield, która była nieco starsza od reszty towarzystwa, odezwała się z nieskrywaną szczerością:

- Nigdy nie sądziłam, z powodu nienawiści jaką żywili do siebie twój dziadek i stary lord Locke, że ujrzę cię tu, we dworze.

- Ja również jestem nieco zdziwiona, że mnie zaproszono - odparła Gytha. - Lecz na szczęście dziadek doszedł do wniosku, iż dalszy spór o las nie ma najmniejszego sensu,

- Bardzo się z tego cieszę - odpowiedziała lady Wakefield - ale jeśli walka rzeczywiście jest już skończona, to o czym będziemy rozmawiać w hrabstwie?

Gytha była pewna, że teraz zakończenie waśni stanie się głównym tematem rozmów. Usłyszała potem jak lady Wakefield tłumaczyła gościom lorda, że te dwie rodziny od lat żyły w niezgodzie. Przypominała sobie jak bawiła wszystkich wzajemna niechęć i nienawiść obu rodów.

Kiedy Gytha wróciła do salonu po kolacji, postanowiła porozmawiać z lady Wakefield. Właśnie kierowała się w jej stronę, gdy na drodze dziewczyny stanęła księżniczka. Oczy Zuleiki wyrażały złość i nienawiść, której już dłużej nie potrafiła skrywać.

Czerwone usta wykrzywiły się, gdy spytała:

- Skąd pani pochodzi, panno Sullivan. Nigdy o pani wcześniej nie słyszałam.

- Mieszkam w sąsiedztwie - wytłumaczyła Gytha. - Posiadłości lorda Locke'a i mego ojca graniczą ze sobą.

- I naprawdę sądzi pani, że nadaje się na żonę dla tak przystojnego i atrakcyjnego mężczyzny jakim jest jego lordowska mość? - Niemalże wypluła te słowa.

Dziewczyna poczuła jak serce łomocze jej w piersiach. Zdołała jednak odpowiedzieć zachowując spokój:

- Jak już panią poinformowano, nasze zaręczyny mają pozostać tajemnicą. Mówiąc to ściszyła głos, dając w ten sposób księżniczce do zrozumienia, że zachowuje się niedyskretnie.

Zuleika zbliżyła się do Gythy o krok, tak by inne damy nie mogły słyszeć ich rozmowy i rzekła:

- Jeśli sądzi pani, że może mi go zabrać to jest pani w błędzie! On należy do mnie, czy to jasne? Jest mój! Jeśli spróbuje pani stanąć nam na drodze, to gorzko pożałuje swojej zuchwałości.

Słowa te oznaczały jawną groźbę. Specyficznie cedziła wyrazy, co zwykle czyniło jej głos zmysłowym i kuszącym, ale teraz brzmiał on wyjątkowo przerażająco. Gytha poczuła jak cała drży. Wytłumaczyła jednak sobie, że nie powinna bać się tej kobiety. Księżniczka zachowywała się, delikatnie mówiąc, w sposób niegodny damy.

Gytha z dumnie uniesioną głową minęła ją i ruszyła powoli w stronę lady Wakefield, która siedziała na wygodnej sofie. Odchodząc czuła na plecach zimny wzrok Zuleiki.

Lady Wakefield z przyjemnością podjęła rozmowę z Gythą.

- Widząc cię tu dziś wieczór, naprawdę wstydzę się, że nie utrzymywałyśmy bliższych stosunków po śmierci twojej matki. Prawdę mówiąc, wszyscy obawiamy się trochę starego pana Sullivana i wiemy, że niechętnie przyjmuje gości.

- Dziadek jest bardzo chory - rzekła Gytha - a ja do lata nosiłam żałobę po mamie.

- Ale teraz, gdy znów możesz bywać w towarzystwie - kontynuowała lady Wakefield - musimy koniecznie zjeść razem obiad. Za dwa tygodnie wydaję potańcówkę dla młodych. Zatrzymała się na moment, po czym dodała:

- Może przekonasz lorda Locke'a, żeby się przyłączył.

Wyraz oczu lady Wakefield odpowiedział Gythcie, że byłby to dla niej zaszczyt gościć go w swych progach.

Po chwili, nie mogąc dłużej poskromić ciekawości, lady Wakefield zapytała:

- Czy od dawna znasz lorda Locke'a? Jeśli tak, wydaje się to niezwykle, zważywszy na fakt, że spór między waszymi rodzinami trwał od tak dawna.

Gytha, przygotowana na tego rodzaju pytanie, odpowiedziała:

- Oboje jesteśmy rozkochani w koniach.

- Ach tak, oczywiście - odparła lady Wakefield. - Na pewno poznaliście się na polowaniu, bo któż mógłby oprzeć się zachwytowi nad końmi ze stajni lorda.

Zanim mężczyźni dołączyli do dam, Gythcie udało się odeprzeć całe mnóstwo ataków ze strony innych kobiet, które wprost zasypywały ją pytaniami. Była wśród nich i żona lorda Lieutenenta, która uważała lorda Locke'a za niebywale atrakcyjnego mężczyznę. Robiła co w jej mocy, by tego wieczoru cały czas być przy nim.

Gytha nawet przez chwilę nie zapomniała o nienawiści jaką pałała do niej księżniczka Zuleika. Wrażliwa na spojrzenia innych, dziewczyna nieustannie czuła na sobie wzrok księżniczki. Jej oczy, niczym rozżarzone węgle, raniły Gythę aż do bólu. Dziewczyna pomyślała, że najwyższy czas udać się do domu. Lord Locke odprowadził ją do drzwi i rzekł czule:

- Była pani wspaniała! Jutro rano muszę zająć się gośćmi, ale po południu poślę po panią powóz.

Gytha uśmiechnęła się do niego. Jadąc do domu luksusowym zaprzęgiem, rozmyślała jaki jest cudowny. Postąpił tak wspaniałomyślnie, godząc się na zaręczyny.

- Jestem pewna, że to tata podsunał mi tę myśl - powiedziała do siebie - i sprawił, by lord Locke się zgodził.

Zamilkła na chwilę, po czym z odrobiną strachu w głosie ciągnęła:

- Teraz pozostaje mi tylko przekonać Vincenta i Jonathana, by pozbyli się złudzeń, że zdobędą pieniądze

dziadka wykorzystując mnie do zrealizowania swego niecnego celu.

Czuła jednak, że nie będzie to takie łatwe jak się wydaje.

Jednak gdy kładła się spać, starała się myśleć tylko o lordzie Locke'u. Wyobrażała sobie jak mknie na swym wspaniałym ogierze ponad przeszkodami. Pragnęła podziękować mu z całego serca za jego dobroć i za to, że uchronił ją przed kuzynami.

Kiedy obudziła się rano, pragnęła by lord Locke znów był przy niej. Myśl, że będzie musiała powiedzieć swym kuzynom o zaręczynach napawała ją strachem.

Zeszła po schodach na dół. Dom wydawał się mroczny i głuchy, zwłaszcza po powrocie z pełnego wrzawy i śmiechu Locke Hall. Ściany zostały wyłożone dębową boazerią. Ciężkie i brzydkie mahoniowe meble oraz portrety przodków wiszące na ścianach, wprowadzały ją w ponury nastrój. Niegustowne zasłony chroniły przed słońcem wpadającym przez okno do środka.

W przeciwieństwie do domu Gythy, Locke Hall był widny i wiecznie zalany światłem. Owa jasność biła z kryształowych żyrandoli oraz białych ścian ze złotymi ornamentami. Malowane sufity, zdobione, jak dowiedziała się Gytha, przez włoskich artystów, różniły się znacznie od tych, jakie dotychczas widywała.

Wszystko, co dotyczyło lorda Locke'a wydawało się jej niezwykle. Był równie wspaniały jak jego konie.

Nagle ujrzała kuzyna Vincenta, który wszedł przez frontowe drzwi.

Niecierpliwie czekał na spotkanie z dziadkiem, by dowiedzieć się w jakim celu go wezwał. Z pewnością noc spędził z przyjacielem lub też przesiedział w karczmie.

Ubrany był jak zwykle bardzo elegancko. Miał na sobie ekstrawagancki płaszcz z wysoko postawionym kołnierzem i

biały krawat. Gytha spojrzała na jego wąskie, zaciśnięte usta i wydatny, dumnie sterczący nos. Małe świńskie oczka osadzone zbyt blisko siebie budziły w niej odrazę.

- Dzień dobry, Gytho! - odezwał się wyniosłym tonem, jakim zwykle się do niej zwracał. - Przypuszczam, że wuj Robert nie zszedł jeszcze na dół.

- Nie, jest jeszcze zbyt wcześnie - odpowiedziała Gytha - jeśli mam być szczerą, ciebie również spodziewałam się później.

- Chciałbym porozmawiać z tobą na osobności. Gytha wiedziała, że pewnie chce się jej oświadczyć.

- Niestety, mam coś ważnego do zrobienia - rzekła pośpiesznie - więc może porozmawiamy, gdy dziadek zejdzie na dół.

- Powiedziałem już, że chcę porozmawiać z tobą na osobności - nalegał Vincent. - Przejdźmy więc do salonu.

Gytha próbowała znaleźć jakąś wymówkę. Była jednak dużo młodsza niż jej kuzyn i przywykła go słuchać. Nim znalazła jakieś usprawiedliwienie, Vincent wziął ją stanowczo pod rękę i poprowadził przez hol do salonu. Stały tam sztywne meble z obiciami z ciemnego adamaszku. Salon zawsze robił na Gythcie bardzo ponure wrażenie i wprowadzał ją w grobowy nastrój.

Vincent zamknął drzwi, a dziewczyna powiedziała niespokojnie:

- Wolałabym poczekać na dziadka, zanim ci coś oznajmię.

- A cóż to takiego?

Vincent podszedł do kominka. Gytha była przekonana, że uważa się za wzór doskonałego mężczyzny. Miał na sobie spodnie w odcieniu szampana, które opinały go niczym druga skóra oraz dokładnie wypolerowane buty ozdobione złotymi klamerkami.

Stanął przy kominku, po czym odwrócił się. Mierzył ją wzrokiem zupełnie jak sułtan przyjmujący nową nałożnicę do swego haremu.

Czytała w jego myślach. Nie była dla niego ideałem kobiety. Jednak uważał, że spadek, który odziedziczy Gytha potrafi zrekompensować braki jej urody.

- Wolałabym, aby dziadek sam ci o wszystkim powiedział - odrzekła dziewczyna. Czowała, że słowa zabrzmiały mało przekonująco.

- Cóż takiego ma oznajmić mi wuj Robert, czego ty nie możesz mi wcześniej zdradzić - zapytał Vincent. - Zamieniam się w słuch.

Gytha milczała, więc Vincent ciągnął gniewnym głosem:

- Przestań się krygować i wytłumacz mi wreszcie, co wydarzyło się od czasu mojej ostatniej wizyty. Choć nie chce mi się wierzyć, by mogło to być coś rzeczywiście ważnego.

- Dla mnie tak.

- W takim razie powiedz mi, co to takiego. Dziewczyna wzięła głęboki oddech.

- Ja i lord Locke zaręczyliśmy się.

Przez chwilę Vincent wpatrywał się w nią swymi świńskimi oczkami.

Następnie powiedział:

- Nie wierzę! Wuj Robert nigdy w życiu nie sprzymierzyłby się z rodziną Locke'ów, z którą nie utrzymywaliśmy żadnych kontaktów od ponad dwudziestu pięciu lat!

- Dziadek zgodził się... na nasze... zaręczyny, lecz postanowił ogłosić je dopiero, gdy pozna lorda Locke'a lepiej.

- Nigdy nie słyszałem czegoś podobnego - rzekł Vincent.
- Jak śmiesz bratać się z rodziną, która znieważyla nas i zagarnęła jeden z naszych lasów!

- Lord Locke zrzekł się praw do Lasu Monk... i przyrzekł dziadkowi, że zniknie on z mapy posiadłości Locke'ów.

- Zaczniemy od tego, że nigdy nie powinien się na niej znaleźć - warknął Vincent - ale to nieistotne. Wuj Robert musiał zupełnie postradać zmysły, by zgodzić się na tak nonsensowne małżeństwo. Ja jednak zrobię wszystko co w mojej mocy, by zapobiec temu szaleństwu.

- Dlaczego chcesz to zrobić? - zapytała Gytha udając naiwną.

- Ponieważ sam zamierzam cię poślubić! - odpowiedział Vincent. - Potrzebujesz kogoś, kto się tobą zaopiekuje po śmierci rodziców. Zamierzam dać ci moje nazwisko i chronić, jako swą prawną żonę.

- Zauważ, że nazwisko już mam - wtrąciła Gytha. - To bardzo miło z twojej strony, kuzynie, że prosisz mnie o rękę, ale obawiam się, że się nieco spóźniłeś. Przyjęłam już oświadczenia lorda Locke'a.

Poczuła, że wraca jej odwaga. Nie oczekiwała tylko, że Vincenta porwie wściekłość i krzyknie rozjuszony:

- Nie poślubisz lorda Locke'a! Zabraniam ci! Słyszysz? Absolutnie ci zabraniam!

Jego głos odbijał się echem w całym pokoju. Mężczyzna wyglądał tak przerażająco, że Gytha cofnęła się o kilka kroków. Bała się, że ją uderzy. Właśnie wtedy drzwi otworzyły się i sir Robert, pchany na wózku przez Dobsona, wjechał do pokoju.

- Co ma znaczyć ten hałas? - zażądał odpowiedzi.

Dobson poprowadził wózek i zatrzymał go tuż przed Vincentem.

- Zostaw nas samych, Dobsonie - rzekł sir Robert.

Lokaj ruszył wolno w stronę drzwi, jakby nie chcąc przegapić ciekawie zapowiadającej się sceny. Sir Robert

spoglądał raz na Gythę, raz na jej kuzyna, po czym spytał ostro:

- Co mają znaczyć te wrzaski? Jak śmiesz podnosić głos na moją wnuczkę?

- Jeśli krzyczałem - odpowiedział Vincent już zupełnie innym tonem - to dlatego, że jestem zdumiony, wujku Robercie, twą zgodą na małżeństwo Gythy z człowiekiem, którego zawsze uważałem za naszego wroga.

- Kogo ty uważasz za wroga, nie ma dla mnie najmniejszego znaczenia - odparł sir Robert. - Chociaż jest synem starego Locke'a, wyróżnił się jako wyśmienity żołnierz, czego potwierdzeniem są liczne medale i odznaczenia, które otrzymał.

Słowa dziadka potwierdziły przypuszczenia Gythy. Zawsze miał on za złe swym bratankom, że nie wzięli udziału w wojnie.

- W dalszym ciągu nie mogę zrozumieć - odezwał się Vincent po chwili - dlaczego fakt, że lord Locke jest dobrym żołnierzem upoważnia go do poślubienia naszej kuzynki. Co więcej, dotąd byłem przekonany, że pragniesz by któryś z nas ożenił się z nią.

- Tak, ale zmieniłem zdanie - rzekł sir Robert. - I gdy Gytha wyjdzie za Locke'a, będziecie zmuszeni znaleźć sobie inną dziedziczkę, która zgodzi się płacić za wasze hulaszcze życie.

- Nie widzę potrzeby szukania sobie innej kandydatki! - rzekł Vincent ze złością. - Mam zamiar poślubić Gythę i cokolwiek byś teraz nie mówił, to wiem, że byłeś przychylny takiemu rozwiązaniu.

- Sam wiem, komu mam zostawić swoje pieniądze - rzucił sir Robert powoli tracąc cierpliwość. - I nie potrzebuję do tego rad zachłannych krewnych.

- Myślę, że to nie fair... - zaczął Vincent. W tym momencie drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł Jonathan. Wyglądał jeszcze bardziej nieprzyjemnie niż zwykle. Z przymilnym uśmiechem na twarzy przypominał kota, który zjadł za dużo śmietanki. Jonathan starał się ubierać modnie, naśladowując styl brata. Był jednak dużo niższy i cięższy, tak więc w niczym dobrze się nie prezentował. Podczas swej krótkiej podróży zdążył już wygnieść krawat i dokładnie zabrudzić buty. Jonathan nie był takim pedantem jak Vincent. Miał zawsze lepkie, niedomyte dłonie.

- Dzień dobry, wuju Robercie! - odezwał się miękkim, kokieterijnym tonem, którym zawsze zwracał się do starszych. - Jak wspaniale znów cię widzieć i to w tak dobrym zdrowiu.

- Mój stan jest beznadziejny - odpowiedział sir Robert - i wiesz o tym dobrze.

- Witaj Gytho! - ciągnął Jonathan. - Wyglądasz prześlicznie! Zupełnie jak kwiatuszek na wiosnę, jak mawiają poeci!

- Przestań paplać - rzekł Vincent rozkazującym tonem. - Posłuchaj lepiej, co się wydarzyło i jak nikczemnie potraktował nas wuj Robert.

Jonathan przeszył sir Roberta ostrym spojrzeniem. Po chwili zwrócił się do niego tonem, który nie był już tak jedwabisty jak wcześniej:

- Cóż mogło się wydarzyć w tej wspaniałej posiadłości, gdzie zawsze czuję się jak w rodzinnym domu?

- Korzystaj z tego, póki możesz. Gytha zaręczyła się z tym odmieńcem Locke'em, z którym żaden Sullivan od ponad dwudziestu pięciu lat nie zamienił nawet słowa.

- Z lordem Locke'em? - Jonathan powtórzył zdumiony.

- Przecież powiedziałem wyraźnie - odparł Vincent ostro.

- Właśnie tłumaczę wujowi Robertowi, że nie możemy się na

to zgodzić i zrobimy wszystko, by nie dopuścić do tego absurdalnego małżeństwa.

- Czy sugerujecie, że na starość tracę rozum? - głos sir Roberta zagrział niczym grom. - Nie zgodzicie się na to małżeństwo? Wy, którzy od czasu ukończenia szkoły nie osiągnęliście nic. Żyjecie z żebraniny, pasożytując najpierw na waszym ojcu, a teraz na mnie!

Przerwał na chwilę, po czym kontynuował, kipiąc z wściekłości:

- Myślicie, że nie wiem co stało się powodem waszych częstych najazdów na nasz dom w ostatnim czasie? Nagle zrozumieliście, że to Gythę mogę uczynić swą spadkobierczynią, a nie was.

- Dałeś nam do zrozumienia, że pragniesz by któryś z nas poślubił Gythę - odpowiedział Vincent - aby pieniądze zostały w rodzinie i Sullivanowie odziedziczyli posiadłość.

- Ja również byłem pewien, że tak się stanie - zawtórował Jonathan - a w duchu miałem nadzieję, że ta słodka istotka właśnie mnie obdarzy względami i że to ja zostanę szczęśliwym wybranym.

Przeszył Gythę spojrzeniem, od którego przeszły ją ciarki, więc instynktownie zbliżyła się do dziadka jakby szukając schronienia.

- Obaj więc pomyliliście się - rzekł sir Robert. - Gytha zamierza wyjść za lorda Locke'a i choć nie bardzo odpowiada mi jego pochodzenie, przynajmniej nie poluje on na moje pieniądze, jak wy dwaj.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, wuju Robercie? - krzyknął Vincent - że nie tylko godzisz się na to małżeństwo i na to, by Gytha nosiła nazwisko Locke, a nie Sullivan, ale również nie zamierzasz łożyć na nasze utrzymanie?

- Łożyć na wasze utrzymanie? Wasz ojciec zadbał już o to, by zapewnić synom dostatni byt.

Odziedziczyliście całą jego fortunę, a jeśli to dla was wciąż za mało, to już nie moja sprawa!

- Ale wuju Robercie, twoja decyzja zrujnuje nas doszczętnie - jęknął Jonathan.

- Jak mógłbyś pogodzić się z myślą, że twoi bratankowie żyją w ubóstwie i muszą żebrać o grosz u swych przyjaciół.

- Co to za różnica, czy będzie to jałmużna od znajomych, czy też ode mnie - zapytał sir Robert. - Czy myślisz, że nie zauważyłem jak płaszczyłeś się chcąc wkraść się w moje łaski oraz jak twój brat podkreślał na każdym kroku, że więzy krwi są najsilniejsze?

Czekał na odpowiedź. Wciąż trwała kłopotliwa cisza, więc kontynuował:

- Nie jestem głupcem i doskonale wiem, że obaj ostrzycie pazury na mój majątek. Teraz możecie szukać szczęścia gdzie indziej. Gytha otrzyma w spadku wszystko, co posiadam i możecie być jej wdzięczni, jeśli w ogóle zgodzi się, abyście mogli zamieszkać w tym domu.

- Ale my nie mamy nawet pieniędzy na życie! - oburzył się Jonathan.

- Więc zdobądźcie je! Zaróbcie! Pomyślcie skąd je wziąć!
- wykrzyknął sir Robert. - Jak myślicie, w jaki sposób dorobiłem się majątku? Użyłem do tego rozumu - a nie zerowałem na swych krewnych, którzy byli takimi półgłówkami jak i wy!

Jego głos zagrzmiał, gdy dodał:

- Głupkowate nicponie, pozbawione rozsądku! Nie pozwolę, byście roztrwonili moje pieniądze. Lord Locke przynajmniej zna się na koniach. Wy nie potrafilibyście kupić nawet muła.

Gdy starzec wygłosił swą mowę, jego twarz spąsowiała. Nagle głowa opadła mu na piersi. Wyglądało, jakby nie mógł złapać oddechu. Zdarzało się to już wcześniej. Gytha

wiedziała, że lekarz przepisał odpowiednie lekarstwo, które należało podać w przypadku ataku. Szybko podbiegła do drzwi. Spodziewała się, że Dobson czeka już pod drzwiami. Była przekonana, że podsłuchiwał przez dziurkę od klucza i stanął na baczność, gdy usłyszał jak naciska klamkę.

- Szybko biegnij po krople dla pana! - rozkazała.

Lokaj popędził do pokoju. Za chwilę przybiegł i wyjął z kieszeni małą buteleczkę. Wziął szklanekę stojącą na tacy z alkoholem, napełnił ją do połowy wodą, po czym odmierzył kilka kropli lekarstwa. Następnie przechylił szklanekę i wlał zawartość sir Robertowi do ust.

Zapadła cisza i wszyscy czekali aż lekarstwo zacznie działać. Ale sir Robert leżał nieruchomo, z zamkniętymi oczami. Dobson obrócił wózek przodem do drzwi.

- Zabijasz go - oto co robisz! - zwrócił się szorstkim głosem do Vincenta. Potem wywiózł sir Roberta na wózku z salonu. Kuzyni odprowadzili go wzrokiem do drzwi. Vincent odezwał się pierwszy:

- Teraz straciliśmy wszystko.

- Czy jest jakaś szansa, że zmieni swój testament? - zapytał Jonathan.

- Szczerze w to wątpię - odpowiedział Vincent - ale możemy zakwestionować testament po jego śmierci. Miej się na baczności, Gytha, jeśli to ty nakłoniłaś dziadka, aby zostawił ci cały swój majątek, to spotkamy się w sądzie, możesz być tego pewna!

Gytha pomyślała, że obaj kuzyni są bezlitośni i podli. Po chwili odezwała się cicho:

- Zostawię lordowi Locke'owi opiekę nad moimi sprawami.

- Teraz lepiej posłuchaj, moja miła - rzekł Vincent - co mamy ci do powiedzenia.

- Nie mam najmniejszego zamiaru was słuchać - odpowiedziała Gytha. - Obaj przyprawiacie mnie o mdłości. Zawsze uważałam, że zasługujecie na pogardę.

Kontynuowała podnosząc głos:

- Przyjechaliście do dziadka tylko po to, by zdobyć jego pieniądze. Teraz, gdy usłyszeliście już całą prawdę o sobie, mam nadzieję, że was więcej nie zobaczę!

Mówiąc to wyszła z pokoju. Gdy zamykała drzwi, usłyszała słowa Jonathana:

- Spójrz co narobiliśmy, Vincent! Musimy w jakiś sposób wpłynąć na zmianę jej decyzji!

- Nigdy im się to nie uda - pomyślała Gytha. Ruszyła po schodach na górę, by sprawdzić jak czuje się dziadek. Dowiedziała się, że Vincent i Jonathan zostają na lunch, dlatego też poprosiła, by posiłek podano jej na górze w saloniku. Zjadła go w samotności.

Następnie, by uniknąć dalszej kłótni, udała się na przejażdżkę. Miała nadzieję, że po drodze spotka lorda Locke'a. Wypatrywała go między dębami. W końcu dostrzegła w oddali znaną postać i poczuła w sercu wielką radość. Przyjechał na tym samym czarnym ogierze, który przyniósł mu zwycięstwo w wyścigach. Nie wyobrażała sobie, by jakikolwiek inny mężczyzna mógł wyglądać w siodle równie dumnie lub galopować na koniu tak wspaniale jak on. Jej ojciec zawsze podziwiał go za to.

Gdy ujrzał ją, szarmancko zdjął kapelusz i zatrzymał konia.

- Dzień dobry, panno Gytho! Czy przybywa mi pani na spotkanie?

- Tak, przychodzę, by uprzedzić pana... że obaj kuzyni... są w domu. Widząc jej przerażenie zapytał ostro:

- Co się stało?

- Powiedziałam im o naszych zaręczynach - odparła Gytha z drzeniem w głosie. - Potem zszedł dziadek... i rozpętała się okropna awantura. Dziadek strasznie się zdenerwował... i dostał ataku. Zabrano go więc do łóżka.

Zamilkła na chwilę, po czym dodała:

- Vincent i Jonathan odgrażali się, że jeśli dziadek mnie zostawi cały spadek, to zakwestionują testament.

- Tego się obawiałem! - krzyknął lord Locke.

Zsiadł z konia i stanął obok Gythy. Spojrzał na nią i dostrzegł, jak bardzo jest blada. Jej oczy wydawały się większe i jeszcze bardziej przerażone niż wczoraj.

- Co mam uczynić? - spytał.

- Czy nie wymagam zbyt wiele prosząc, by spotkał się pan z nimi? Jestem pewna, że gdy pana zobaczą, zdadzą sobie sprawę, że mówiłam poważnie i nic nie są w stanie już zrobić.

- Wątpię, czy zdołam powstrzymać ich od zakwestionowania testamentu - rzekł lord Locke - ale jestem gotów zrobić wszystko, co tylko pani zechce.

- Bardzo dziękuję - powiedziała Gytha. Ruszyli wolno drogą. Lord Locke prowadził

Herkulesa do chwili, gdy stajenny podbiegł, by odprowadzić konia do stajni. Gdy podchodzili do drzwi, lord zdał sobie sprawę, jak bardzo Gytha jest przerażona. Pomyślał, jak bolesne muszą być te doświadczenia dla tej młodej, samotnej istoty.

- Na pewno - odezwał się gdy szli korytarzem - ma pani jakąś bliską starszą krewną, która zgodziłaby się zamieszkać tu na jakiś czas?

- Wątpię, czy ktokolwiek zgodziłby się znosić dziwactwa dziadka - rzekła Gytha żalonym głosem - a poza tym niechętnie widzi on gości w swoim domu.

Otworzyła drzwi do salonu. Dokładnie tak jak przypuszczała, kuzyni siedzieli przy kominku. Najwyraźniej zawzięcie dyskutowali, szukając wyjścia z trudnej sytuacji.

Postanowili ponownie zobaczyć się z sir Robertem i wpłynąć na zmianę jego decyzji. Gytha była jednak pewna, że Dobson nie dopuści, aby ktokolwiek niepokoił dziadka w tym stanie.

Choć była śmiertelnie przerażona, zdołała zachować spokój. Weszła do salonu z lordem Locke'em u boku. Vincent i Jonathan niechętnie wstali by się przywitać.

- Pomyślałam, kuzynie Vincencie - zaczęła - że zechcesz poznać mojego narzeczonego, lorda Locke'a.

Vincenta opanowała wściekłość. Zmarszczył groźnie brwi i odpowiedział:

- Nigdy nie przypuszczałem, że spotkam waszą lordowską mość w tym domu.

- Dla mnie jest to również niespodzianka - odparł lord Locke - ale obaj doskonale wiemy, że najwyższy czas, by ta bezsensowna wojna między naszymi rodzinami dobiegła końca. A najlepszym sposobem na pojednanie jest moje małżeństwo z Gythą.

Rozbawiła go złość, jaka malowała się na twarzy Vincenta. Jonathan natomiast wyglądał jakby za chwilę miał wybuchnąć płaczem.

- Jestem przekonany - oznajmił Vincent zuchwale - że to pan nakłonił moją kuzynkę do małżeństwa. Nie wiem, czy zdaje pan sobie sprawę, że wuj od dawna pragnął, by to któryś z nas ją poślubił.

- Rozumiem, że wasze uczucia zraniono - rzekł lord Locke - lecz ponieważ Gytha właśnie mnie wybrała na męża, mam nadzieję, iż obaj przyjmiecie to z godnością życząc nam szczęścia i nie żywiąc urazy.

- Pięknie powiedziane! - odpowiedział Vincent z szyderczym uśmiechem. - Nie zmienia to jednak faktu, że oboje z Gythą świadomie zagarniacie cały spadek, który prawnie należy się nam, jako Sullivanom.

- Rozmawiałem z waszym wujem - dorzucił lord Locke - i gwarantuję, że jest on na tyle sprawny umysłowo, by sam, bez niczyjej pomocy, rozporządzać swym majątkiem. Gytha bynajmniej nie wpłynęła na niego w żaden sposób, jak to próbujecie insynuować.

- Jestem innego zdania - sprzeciwił się Vincent. - Zapewniam pana, że znajdę świadka, który potwierdzi, że dziadek nie tylko jest obłąkany, lecz również został siłą zmuszony do sporządzenia testamentu, w którym przekazuje wszystko, co ma swojej wnuczce.

- O tym zadecyduje już sąd - stwierdził lord Locke. - Wynajmę biegłego adwokata w celu reprezentowania interesów mojej narzeczonej, on zadba, by nie pozbawiono jej tego, co jej się prawnie należy.

Zwrócił się do Gythy ze słowami:

- Obawiam się moja droga, że dalsza dyskusja z tymi panami do niczego nie doprowadzi. Proszę zostawić wszystkie sprawy mnie. Zrobię wszystko, abyś nie musiała się pani o nic martwić.

- Dziękuję panu - odpowiedziała Gytha.

Jej spojrzenie wyrażało więcej niż słowa. Lord Locke wyprowadził narzeczoną z salonu. Gdy szli korytarzem Gytha rzekła:

- Dziękuję, jest pan cudowny! Jestem pewna, że Vincent i Jonathan dobrze się zastanowią, zanim znów będą niepokoić dziadka lub podejmą jakieś kroki przeciwko mnie.

- Nie mogą nic zrobić tak długo, jak żyje dziadek.

Gytha westchnęła. Nagle zrozumiała, że gdy dziadek umrze zaręczyny zostaną zerwane. Lord nie będzie dłużej chronić jej i zajmować wszystkimi kłopotami.

Lord Locke wydawał się nie zauważać mrocznego wystroju gabinetu. Stał przy kominku i powiedział:

- Proszę się nie martwić. Jestem pewien, że Vincent nie skieruje sprawy na drogę sądową. Wie, że ma nikłe szanse wygrania. Poza tym kosztowałoby go to fortunę, której, o ile wiem, nie posiada.

Zamilkł na chwilę, po czym kontynuował:

- Będzie raczej starał się być uprzejmy w nadziei, że zrzeknie się pani na jego korzyść niewielkiej części majątku. Jeśli spadek po dziadku jest tak wielki, jak się przypuszcza, to odbędzie się to bez uszczerbku dla pani.

- Oczywiście - zgodziła się Gytha - chętnie im pomogę. Wątpię jednak, czy zadowolą się tak małą sumą. Sądzę, że będą chcieli dostać wszystko, co posiadam.

- A to im się na pewno nie uda! - rzekł lord Locke stanowczo.

Popatrzył na nią. Wyglądała na zniechęconą i przybitą. Znow ujął go widok złotych włosów mieniących się niczym promienie słońca.

- Uważam, że ktoś powinien tu z panią zamieszkać. Przecież dziadek jest bardzo chory i nie może pani spędzać z nim każdej chwili. Przynajmniej miałyby pani z kim porozmawiać.

- Bardzo bym chciała - odparła Gytha - lecz wiem, że gdybym zaprosiła kogoś bez jego zgody na pewno byłby wściekły. Zresztą wątpię, czy ktoś w ogóle zgodziłby się ze mną zamieszkać. Byłoby to takie nudne zajęcie.

- Ale da sobie pani radę? Gytha uśmiechnęła się.

- Nie mogłabym odejść, a zresztą nie miałabym gdzie się podziać i za co żyć.

- Chyba nigdy dotąd nie spotkałem osoby, która miałaby na głowie tyle problemów naraz - powiedział lord Locke z uśmiechem. - Może mógłbym zaproponować pani, by przeniosła się na kilka dni do mej posiadłości.

Gytha rzekła z błyskiem w oczach:

- Bardzo... bym chciała... ale obawiam się, że rozdrażniłoby to bardzo pana przyjaciółkę.

Lord Locke dokładnie wiedział, kogo miała na myśli.

Zanim zdążył coś powiedzieć Gytha dodała:

- Z pewnością rozzłościłoby to również dziadka. Jednak z przyjemnością przyjmę pana zaproszenie na lunch lub obiad. Będzie to dla mnie miła rozrywka.

- Oczywiście, w każdej chwili ma pani moje zaproszenie - odpowiedział lord - goście wyjeżdżają rano, więc umówmy się, że przyjdzie pani na lunch, a później jeszcze raz wieczorem.

- Bardzo dziękuję, to bardzo uprzejmie z pana strony.

- Teraz niestety muszę panią opuścić, ale proszę by nie zadreżczała się pani z powodu swych kuzynów.

- Będę starała się ich unikać - stwierdziła Gytha. - Zjadłam dziś lunch na górze i pozostanę tam tak długo, aż nie wyjadą. Mam nadzieję, że znikną przed kolacją.

- Tak więc do zobaczenia na jutrzejszym lunchu - rzekł lord Locke. - Proszę uważać na siebie panno Gytho, a gdyby potrzebowała mnie pani, proszę wyślij lokaja, a natychmiast przybędę.

- Dziękuję... dziękuję! - odparła Gytha. Czuł, że jest mu wdzięczna z całego serca.

Odprowadziła go do drzwi. Wsiadł na konia i szarmancko zdjął kapelusz na pożegnanie. Ten gest wydał jej się niezwykle wytworny.

Ruszył, a Gytha prowadziła go wzrokiem, aż zniknął w oddali. Pochlebiałoby jej, gdyby wiedziała, że jadąc przez

park lord rozmyślał o niej. Gdy stała na schodach patrząc na niego, wydawała mu się taka krucha i bezbronna. Wyglądało, jakby ten olbrzymi, ponury dom mógł ją zmiażdżyć, przygnieść swym ciężarem. Pomyślał sobie, że ponosi go wyobraźnia. Starał się przecież za wszelką cenę spłacić dług wdzięczności wobec jej ojca.

Rozdział 5

Lord Locke przez całą noc nie zmrządził oka. Dręczyła go obawa, że wcześniej czy później dojdzie do awantury z Zuleiką. Za wszelką cenę pragnął tego uniknąć.

Wszyscy goście położyli się do łóżek dopiero o godzinie drugiej nad ranem. Całą noc spędzili grając w karty, zresztą o bardzo wysokie stawki. Gdy skończyli, lord Locke zamiast do swego pokoju udał się do pokoju Perry'ego.

- Jak się sprawy mają? - zapytał Perry. Był on jedyną osobą, której lord opowiedział

prawdę o swych rzekomych zaręczynach z Gythą. Po kolacji Perry rozplątywał się wręcz w pochwałach dla panny Sullivan i były one zupełnie szczere:

- Jest naprawdę piękna i taka inteligentna - mówił - i choć brakuje jej wytwornych strojów, by równać się z damami z St. James, to, moim zdaniem, jest wyjątkową kobietą.

Lord Locke słuchał uważnie. Gdy wszedł do pokoju, Perry od razu domyślił się co go trapi.

- Przypuszczam, że nic nie możesz zrobić w sprawie Zuleiki - rzekł wesoło - pociesz się myślą, że już niedługo nadejdzie jutro.

- Cały dzień usiłuję zostać ze mną sam na sam - odpowiedział lord Locke - i pewnie ma nadzieję, że właśnie nadszedł odpowiedni moment.

- Zamknij więc drzwi na klucz, stary - odparł Perry uszczypliwie.

- Wstrętem napawa mnie myśl, że muszę ukrywać się niczym pokojówka nagabywana przez swego lubieżnego gospodarza - rzucił lord Locke ostrym tonem.

Perry uśmiechnął się, a lord kontynuował:

- Obawiam się, że nie pozostaje mi nic innego, tylko wysłuchać, co ma mi do powiedzenia.

- Radziłbym ci tego nie robić - rzekł Perry. - Sam wiesz, że ci ludzie ze Wschodu bywają niebywale natrętni i męczący, gdy czują się czymś boleśnie dotknięci.

Lord Locke popatrzył na przyjaciela, który zdejmował właśnie nienagannie zawiązany krawat, i czuł, że on ma rację.

- Mam przecucie, że nie będzie łatwo pozbyć się Zuleiki - stwierdził w zadumie, jakby mówił sam do siebie.

- Idę o zakład, że szykuje się przedstawienie roku - odpowiedział Perry. - Odkąd ją pierwszy raz przyprowadziłeś czułem, że będą z nią same kłopoty.

- Jak dobrze pamiętam, sama się zjawiła lub raczej przyczepiła się do mnie niczym rzep.

- Tak - zauważył Perry - jest niczym rzep. Gdy raz go oderwiesz, przyczepi się znowu.

- Twe słowa na wiele się nie zdadzą - żalił się lord.

- Jeśli oczekujesz mojej rady - podjął Perry - to mogę ci tylko powiedzieć, byś spał dziś w nocy w innym pokoju. Bóg wie, że masz ich wystarczająco dużo.

- To pierwsza mądra rzecz jaką do tej pory powiedziałeś!

Mówiąc to, lord wstał i ruszył do drzwi.

- Dobranoc Perry. Chciałbym, byśmy rano wybrali się na przejażdżkę, a potem pomożesz mi wyprawić gości. Nie chcę, by Zuleice udało się zamarudzić tutaj dłużej.

- To już twoje zadanie stary przyjacielu, nie moje - rzekł Perry rozbawiony.

Lord Locke udał się do swego pokoju. Zanim wezwał lokaja, przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Wyjął ze stojącego na komodzie wazonu piękną wiązaną chryzantem. Cisnął kwiaty do kominka tak daleko, jak tylko mógł, a następnie wrzucił dwie świeże kłody i podpalił je.

Minęło niespełna kilka minut, gdy pokój zaczął wypełniać się dymem. Lord zadzwonił po lokaja. Walters, atletycznie zbudowany, niewysoki mężczyzna, który służył w jego pułku,

stawił się natychmiast na wezwanie. Otworzył drzwi i zdziwiony spojrzał na wydostający się dym.

- Kopci się z kominka, milordzie - wykrzyknął nie pytany o zdanie - a kominiarz był tu przecież dziesięć dni temu. To naprawdę wstyd.

- Zgadza się - odpowiedział lord - ale nie mam zamiaru się udusić tutaj, więc lepiej zanieś moją nocną bieliznę do pokoju księcia Marlborough. Mam nadzieję, że łoże jest posłane.

- Oczywiście, milordzie. Wszystkie pokoje na tym piętrze są zawsze gotowe, na wypadek wizyty jakiś nieoczekiwanych gości.

- Bardzo dobrze, tam właśnie będę dziś spać. Ruszył szybko korytarzem. Miał nadzieję, że

Zuleika, która zajmowała sąsiedni pokój, nie zorientuje się, że przeniósł się gdzie indziej.

Gdy leżał już w łóżku, o dziwo, zapomniał o problemach jakich przysparzała mu Zuleika. Zastanawiał się natomiast jak może pomóc Gythcie. Doskonale rozumiał jej niechęć do Vincenta, którego sam uważał za fircyka w najgorszym wydaniu. Jonathan był równie niemiły jak jego brat.

- Muszę koniecznie coś dla niej zrobić - postanowił. Na razie nie miał jednak pojęcia jak postąpić.

Długo nie mógł zasnąć przewracając się z boku na bok. Trapiła go obawa, że po śmierci dziadka bracia Sullivan mogą wszcząć przeciwko Gythcie sprawę sądową. Wiedział, że bez względu na to jak zaciekle będzie się broniła, to i tak nie uda jej się uniknąć kłopotów.

- Musi mieć kogoś, kto będzie ją chronił - rzekł do siebie.

Przypomniał sobie jak miłym i wyrozumiałym człowiekiem był jej ojciec. Troszczył się o wszystkich młodych oficerów, którzy wstąpili do pułku we Francji i przechodzili swój chrzest bojowy. Lord pomyślał, że powinien

był koniecznie spotkać się z Gythą i jej matką po zakończeniu wojny. Usiłował wytłumaczyć swe zaniedbanie faktem, że najpierw był w armii okupacyjnej, a następnie wyjechał do Londynu. Gdy wrócił do swej posiadłości, przypomniał mu się trwający od lat spór między jego rodziną a rodziną Sullivanów. Gdyby pułkownik Sullivan wciąż żył, to na pewno on odziedziczyłby majątek sir Roberta.

Zdawał sobie sprawę jakie niebezpieczeństwa czyhają na młodą dziedziczkę. Jej majątek będzie stanowić nieodpartą pokusę dla najnędrniejszych typów.

- Nikt nie mógłby być gorszy niż jej kuzyni! - pomyślał.

Był pewien, że Gytha w żaden sposób nie poradzi sobie z nimi. Jak pozbędzie się kłopotów, które przecież są nieuniknione? Była nie tylko bogatą, lecz również tak uroczą istotą. Myśl o tym, jaka jest piękna, pozwoliła mu wreszcie pogrążyć się w słodkim śnie.

Obudził się rano z dziwnym uczuciem, że to właśnie jego potrzebuje Gytha. Wytłumaczył jednak sobie, że ponosi go wyobraźnia.

Po konnej przejażdżce z Perrym, zasiadł do smakowitego śniadania. Skończył zanim pozostali goście zebrali się w jadalni.

- Doskonale bawiłem się w twym domu, Valiancie - rzekł jeden z przyjaciół - mam nadzieję, że nie przyniosłem ci wstydu i wkrótce znów mnie zaprosisz. Z jego tonu wynikało, że wcale w to nie wątpi.

Lord Locke odpowiedział:

- Oczywiście, z przyjemnością znów cię ugoszczę w swych progach.

Po śniadaniu panowie wyszli z jadalni. Bates podszedł do lorda i szepnął mu do ucha.

- Jej wysokość życzy sobie natychmiast widzieć się z waszą lordowską mością.

- Gdzie? - spytał lord Locke.
- W jej buduarze.
- Przekaż jej wysokości, że muszę pożegnać gości, którzy właśnie wyjeżdżają i niestety nie mogę spełnić tej prośby.

Zamilkł na chwilę, po czym dodał:

- Powiadom również, że powóz, który zabierze ją dziś do Londynu będzie czekał o godzinie jedenastej.

Bates ruszył po schodach na górę. Lord Locke wszedł do biblioteki, gdzie Perry i dwóch innych przyjaciół pochłoniętych było rozmową o koniach. Właśnie włączył się do dyskusji, gdy nagle ktoś otworzył drzwi. W progu ukazała się Zuleika. Wyglądała niezwykle pięknie i wytwornie w czepku z karmazynowymi piórami. Gdy mężczyźni wstali, by się przywitać oznajmiła:

- Muszę z tobą porozmawiać, Valiancie.

Zanim lord zdążył odpowiedzieć, posłała jego przyjacielom kokieteryjny uśmiech.

- Wybaczcie, moi drodzy - rzekła - ale mam coś pilnego do zakomunikowania waszemu gospodarzowi. Jest to tajemnica, więc jestem zmuszona poprosić was, byście zostawili nas na chwilę samych.

Nie pozostawało im nic innego, tylko wysłuchać jej prośby. Perry posłał lordowi porozumiewawcze spojrzenie i wyszedł z pokoju. Jak tylko drzwi zatrzęsnęły się za nimi, Zuleika podbiegła do lorda i rzuciła mu się w objęcia:

- Jak możesz być tak okrutny i oschły, gdy ja tak bardzo cię kocham? Och, Valiancie, tak bardzo cię kocham!

Lord nie odwzajemniając jej czułości powiedział:

- Myślę, Zuleiko, że oboje jesteśmy na tyle dojrzały i rozsądni, by zrozumieć, że nasza miłość nie jest już tak żarliwa jak dawniej.

Jego słowa brzmiały szczerze, gdy mówił dalej:

- Mogę ci jedynie podziękować za szczęśliwe chwile spędzone z tobą, a gdy wrócę do Londynu pošę ci prezent, który będzie wyrazem mej wdzięczności.

Zuleika nie poruszyła się, ale czuł jak jej zmysłowe ciało przywiera do niego.

- Czy zamierzasz mnie odtrącić? - spytała Zuleika. - Chcesz pograżyć mnie w rozpacz i zupełnie unieszczęśliwić?

- Absolutnie, w żaden sposób nie chcę cię skrzywdzić - odparł lord.

Zuleika pošłała mu błagalne spojrzenie i powiedziała:

- Czekałam na ciebie zeszłej nocy.

- Byłem zbyt zmęczony, by przyjść.

- Nie widziałam, byś kiedykolwiek był zmęczony! Czy naprawdę wolisz tę wiejską gęś ode mnie?

Po chwili dodała ostrym tonem:

- Jak możesz być tak głupi, by udawać, że nie pamiętasz już gorącej namiętności jaką do siebie pałaliśmy i dzikiej rozkoszy, która porywała nas ilekroć byliśmy razem?

Głos księżniczki wzniósł się, gdy krzyczała:

- Nie! Tylko ja mogę dać ci to, czego pragniesz! Tylko ze mną możesz zakosztować rajskich uniesień!

Wyprężyła pierś, a w oczach pojawił się błysk szaleństwa. Słowa wyrywały jej się z ust, jakby straciła nad nimi kontrolę.

- Słuchaj, Zuleiko.... - zaczął lord Locke.

- Nie mam zamiaru! To ty lepiej mnie posłuchaj! Jesteś mój - słyszysz? - mój, Valiancie, i nie pozwolę, by ta wieśniaczka stanęła nam na drodze - rzekła to uroczystym głosem, po czym przybliżyła się do niego i wyszeptała:

- Ożeń się ze mną! Będziemy szczęśliwi, a ja nie przyniosę ci wstydu jako pani tego domu.

- Przykro mi, Zuleiko - powiedział lord Locke - ale powiedziałem ci już wczoraj, że zareczyłem się z panną Gythą

Sullivan; Jesteśmy tak związani, jakbyśmy już byli małżeństwem.

Mówił łagodnym, ale stanowczym tonem. Żołnierze, którzy walczyli pod jego dowództwem wiedzieliby, że jest to ostateczna decyzja, od której nie ma odwrotu. Przez chwilę oboje milczeli.

Potem Zuleika odsunęła się od niego o krok i rzekła:

- Cóż więc, jeśli tak - ty i ta prostytutka będziecie tego gorzko żałować! Nie pozwolę, by ktokolwiek bezkarnie tak mnie traktował!

Jej zielone oczy zwęziły się.

- Pamiętaj, Valiancie! Przyjdzie kiedyś dzień, że wrócisz do mnie. Kiedyś zrozumiesz, że nikt inny nie jest w stanie rozpalić w tobie takiej namiętności jak ja.

Swe ostatnie słowa wysyczała niczym żmija. Następnie odwróciła się i wolno ruszyła w stronę drzwi. Wychodząc posłała mu wrogie, powłóczyście spojrzenie, które spotęgowało groźbę jej słów. Lord ani drgnął. Gdy został sam, odetchnął z ulgą. Miał nadzieję, że nie będzie już musiał oglądać księżniczki przed jej wyjazdem z Locke Hall.

Część gości została na lunch. Pili właśnie w salonie szampana, gdy lord Locke przypomniał sobie nagle, że przecież umówił się z Gythą. Wyszedł z salonu, by oznajmić Batestowi, że jej oczekuje. Właśnie wtedy przyszedł do niego liścik. Gdy mu go wręczono na srebrnej tacy, zorientował się, że napisała go Gytha.

Był następującej treści:

Milordzie,

Proszę wybaczyć mi, że nie mogę przyjąć Pana uprzejmego zaproszenia na lunch i kolację dziś wieczór, lecz dziadek niestety nie czuje się dobrze. Lekarze mówią, że musi mieć teraz spokój i tylko ja mogę go doglądać.

Dlatego też zrozumie Pan, że nie mogę się z nim spotkać, gdyż muszę być przy dziadku, gdyby mnie potrzebował.

Dziękuję, że przyszedł Pan wczoraj porozmawiać z kuzynami, i będę wdzięczna jeśli jutro zechce mnie Pan odwiedzić.

Z poważaniem, Gytha

Lord Locke zauważył, że jej charakter pisma jest bardzo elegancki, a list napisany nad wyraz składnie. Przeczytawszy, włożył go do kieszeni i wrócił do salonu, by zająć się gośćmi.

Lunch udał się wyśmienicie. Lucy Compton i jej partner nalegali, żeby zostać jeszcze jedną noc.

Chcieli wrócić do Londynu wczesnym rankiem następnego dnia.

- Czujemy się u ciebie znakomicie, drogi Valiancie - rzekła Lucy Compton - będzie wspaniale, gdy wreszcie zostaniemy sami i nie będziemy dłużej musieli znosić towarzystwa tej niezrównoważonej księżniczki. Za każdym razem gdy zamieniłam z tobą słowo, natychmiast obrzucała mnie gradem przekleństw.

Lord Locke zaśmiał się z nutą smutku w głosie.

- Ona naprawdę budzi we mnie lęk! - ciągnęła Lucy. - Jako starzy, dobrzy przyjaciele zabawmy się dziś wieczór.

Lady Compton była nie tylko piękną, lecz również niezmiernie wesołą kobietą, tak że wieczór upłynął im bardzo przyjemnie. Gdy lord udał się na spoczynek, uświadomił sobie, że cały wieczór śmiał się i żartował. Poczul się winny wobec Gythy.

- Powinienem był napisać do niej liścik lub przynajmniej posłać kwiaty - rzekł do siebie. Postanowił w duchu, że nazajutrz, gdy uda się do Sullivanów, wręczy jej bukiet orchidei, które zakwitły już w cieplarniach.

- Kiedy wracasz do Londynu? - spytał Perry, gdy żegnali się na dobranoc.

- Jak tylko uporządkuję wszystkie sprawy - odpowiedział lord Locke. - Nie zostawię tej biednej istoty na łasce podłych krewnych.

- Nie, oczywiście, że nie możesz tego zrobić - zgodził się Perry - a jeśli potrzebowałbyś pomocy, wiedz, że zawsze możesz na mnie liczyć. Byłem pełen podziwu dla jej ojca; był on najwspanialszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkałem.

- Zgadza się z tobą - przytaknął lord Locke.

Ułożył się wygodnie w swym własnym łóżku, nie zaprzatając sobie dłużej głowy Zuleiką i jej groźbami. Gdy zbudził się rano, zasłony były już odsunięte. Walters dzwonił o siódmej, zgodnie z poleceniem.

Kiedy lord rozbudził się zupełnie, Walters oznajmił:

- Myślę, że chciałby pan wiedzieć, milordzie, iż sir Robert Sullivan odszedł od nas zeszłej nocy.

Lord usiadł na łóżku.

- Nie żyje? Skąd to wiesz?

- Chłopak ze wsi przyniósł nam wieści dziś rano.

- Muszę tam pojechać po śniadaniu i złożyć kondolencje.

Pomyślał, że kuzyni pomogą dziewczynie w przygotowaniach do pogrzebu. Na pewno roześlą listy, by zawiadomić wszystkich krewnych o ceremonii.

Opowiedział Perry'emu, co się wydarzyło. Postanowił spotkać się z Gythą i zaproponować przeprowadzkę do Locke Hall. Przynajmniej do czasu, aż uda mu się znaleźć kogoś, kto zechce zamieszkać z nią w majątku dziadka.

- Napiszę do ciotki, która mieszka w Dower House - rzekł lord Locke. - Ona jest raczej nudną, ale za to bardzo miłą kobietą. Z pewnością niezmiernie ucieszy ją propozycja, by sprowadziła się tu lub ewentualnie zaprosiła Gythę do siebie.

- To brzmi rozsądnie - stwierdził Perry - jeśli ciotka się zgodzi, wówczas będziemy mogli wreszcie wrócić do

Londynu. Nie zapominaj o obietnicy danej księciu regentowi, że pojawisz się na jego przyjęciu w przyszłą środę.

- Na pewno byłby zły, gdybym go zawiódł - odpowiedział lord Locke.

Przed śniadaniem obaj udali się na przejażdżkę konną. Zbliżała się już dziesiąta, gdy lord Locke wreszcie ruszył przez park na spotkanie z Gythą. Zdecydował się pojechać przez Las Monk, który był przedmiotem długoletniego sporu dwóch rodów. Była to najkrótsza droga wiodąca do posiadłości Sullivanów. Ścieżka zarosła bujną roślinnością, dlatego nie mógł jechać tak szybko, jak zamierzał.

Mknął kłusem, gdy nagle gałąź przyczepiła się koniowi do prawego boku. Nachylił się, by ją zdjąć i czyniąc to, zupełnie nieświadomie uniknął śmierci.

W tym właśnie momencie rozległ się huk strzelby. Kula przeszła kapelusz zrzucając mu go z głowy, a koń ze strachu stanął dęba.

Lord Locke w swym życiu przeżył wiele groźnych chwil. Wiedział więc, że jedynym wyjściem dla niego jest uciec z lasu jak najszybciej, zanim napastnik wystrzeli po raz drugi.

Schylił się nisko i ukłął konia ostrogami przynaglając go do biegu. Po chwili wjechał na otwartą przestrzeń. Następnie popędził galopem tak szybko, jak tylko mógł w kierunku Sullivan Hall.

Z trudem mógł uwierzyć, że w tej cichej, spokojnej okolicy ktoś targnął się na jego życie. Lord zdawał sobie sprawę, że gdyby nie schylił się odpowiednio nisko, kula ugodziłaby go prosto w serce. Leżałby teraz martwy w środku lasu.

Nie przypuszczał, że bracia Sullivan gotowi są popełnić zbrodnię. Ale nie sądził, by ktokolwiek inny tak bardzo pragnął jego śmierci. Nie tyle przestraszyło go całe wydarzenie, co rozżłościło.

Ci, którzy służyli pod jego dowództwem poznaliby to po minie. Zaciśnięte usta i zawzięty wyraz oczu znaczyły, że nie przebaczy łatwo tej zniewagi. Wreszcie dotarł na miejsce. Przysiągł sobie, że wcześniej czy później ktoś słono zapłaci za ten nikczemny postępek. Podał rękawiczki i szpicrutę lokajowi, który wyglądał na wielce strapionego.

Opuszczone żaluzje w oknach czyniły dom jeszcze bardziej ponurym i mrocznym niż zwykle.

- Gdzie jest panna Gytha? - zapytał lord Locke.

- W gabinecie, milordzie - powiedział lokaj i ruszył, by go poprowadzić.

- Dziękuję, sam trafię - rzekł.

Lord pomyślał, że skoro Gytha od dawna była przygotowana na śmierć dziadka, to nie będzie tak bardzo rozpaczala. Postanowił, że będzie dla niej delikatny i wyrozumiały.

Wtedy właśnie, gdy szedł korytarzem, dobiegł go przeraźliwy krzyk.

Poprzedniego dnia Gytha starała się unikać towarzystwa kuzynów. Cały czas przebywała w pokoju dziadka. Poprosiła doktora, by wytłumaczył im, że pod żadnym pozorem nie wolno niepokoić starca i że sama ich obecność źle na niego wpływa.

- Proszę pozostawić to wszystko mnie, panno Gytho - powiedział lekarz, który znał ją od dziecka. - Ostrzegalem panią, że dziadek nie pożyje już długo. Jest pani jedyną osobą, którą darzy uczuciem.

- Zawsze okazywał to w bardzo dziwny sposób - wyszeptała.

- Tak, wiem, moja droga - odrzekł doktor. - Jednak musi pani zrozumieć, że nigdy nie otrząsnął się po śmierci Alexa.

Gytha zbliżyła się do łóżka. Zrozumiała, jaką tragedią była dla dziadka utrata jedynego syna. Agresja i oschłość skrywały

żał i rozgoryczenie, że los zabrał młodego mężczyznę pozwalając jemu, staremu człowiekowi nadal żyć.

Zrobiło się późno i Dobson poradził Gythcie, by położyła się i odpoczęła.

- Będę czuwał przy dziadku - obiecał.
- Proszę mnie zbudzić, gdybym była potrzebna.
- Tak, oczywiście, panienko.

Gytha udała się do sypialni. Czesłała włosy przed lustrem, gdy nagle ktoś zapukał do drzwi.

- Niech panienka się pospieszy - zawołał Dobson. Bez słowa pobiegła korytarzem i wpadła do pokoju dziadka. Starzec ciężko oddychał. Jednakże kiedy usiadła przy nim i dotknęła jego dłoni, otworzył oczy.

- Jestem przy tobie, dziadku - rzekła dziewczyna, mając wrażenie że jej nie poznaje.

Nagle poczuła jak zacisnął palce na jej dłoni. Wtedy ledwie dosłyszalnym głosem wymamrotał:

- Córka Alexa?
- Tak, to ja, Gytha.

Zamknął oczy. Pomyślała, że zasnął, ale wciąż z trudem łapał oddech. Nagle poruszył ustami i wyszeptał:

- Moja dziedziczka!

Następnie wyzionął ducha.

To Dobson wyprowadził ją z pokoju; Dobson wezwał doktora i to on sam zawiadomił Vincenta i Jonathana o tym, co się wydarzyło.

Gytha długo nie mogła zasnąć. Myślała z zamierającym sercem, że teraz będzie musiała stawić czoło swym kuzynom czyhającym na odziedziczony przez nią majątek.

Bała się, mimo iż lord Locke był tutaj, by ją chronić.

Ranek miała bardzo zajęty powiadamianiem krewnych i załatwianiem wszystkich innych spraw związanych z pogrzebem. Założyła białą muślinową suknię, zarzuciła na nią

czarny szal i zeszła na dół. Ku jej zadowoleniu kuzynów nie było w domu. Gdy spytała zdenerwowana gdzie są, powiedziano jej, że wyszli.

- Myślę, panienko - rzekł lokaj - że pan Vincent udał się na polowanie.

- Na polowanie? - spytała Gytha zdziwiona.

- Wziął ze sobą strzelbę, panienko.

Gythcie wydało się to dziwne. Nie mogła zrozumieć w jakim celu potrzebna mu strzelba, jeśli poluje tylko na gołębie i króliki.

Nagle krzyknęła z przerażenia. Może strzela do jeleni w parku! W ciągu ostatnich kilku lat tak mało ludzi odwiedzało dwór i czuła się taka samotna, że udało się jej oswoić jelenie. Jadły z ręki. Nie bały się ludzi, płoszyły się jedynie na widok psów. Dziadek, na jej prośbę, zakazał leśnikom strzelania do jeleni. Było ich więc w pobliskich lasach dość dużo. Gytha lubiła przyglądać się jak wylegiwały się w cieniu drzew.

- Nie mogę uwierzyć, że Vincent jest tak okrutny, by strzelać do tych niewinnych zwierząt - pocieszała się.

Nie widziała jednak innego powodu, dla którego miałby brać strzelbę z magazynu broni.

Udała się do gabinetu dziadka. Zaczęła sporządzać listę krewnych, których należało powiadomić o jego śmierci. Wiedziała, że lekarz i właściciel zakładu pogrzebowego przyjdą później. Na jej głowie były wszystkie sprawy związane z przygotowaniem do pogrzebu.

- Muszę pamiętać, by nie pominąć nikogo z krewnych - rzekła do siebie.

Zaczęła od listu do starej ciotki, która mieszkała w Bath i której najprawdopodobniej nie będzie się chciało jechać tak daleko na pogrzeb.

Nagle Emily, pokojówka która opiekowała się Gythą, weszła do pokoju.

- Zapomniałam panience powiedzieć, wyleciało mi to całkowicie z głowy, że zeszłego wieczoru przysłano panience prezent ślubny.

- Prezent ślubny?! - wykrzyknęła Gytha.

- Tak panienko, ale wydaje mi się to dziwne, że ktoś przysłał go właśnie w chwili, gdy umierał sir Robert. Dlatego zapomniałam o tym aż do teraz.

- Skąd wiesz, że to prezent ślubny? - spytała Gytha.

Przyglądała się okrągłemu koszykowi, który trzymała Emily.

- Jakiś mężczyzna przyniósł go późno w nocy, gdy panienka już spała. Powiedział, że zabłądził, ale przyniósł dla panienki Gythy prezent ślubny.

Dziewczyna wpatrując się w Emily ze zdziwieniem pomyślała:

- Jeśli to naprawdę prezent ślubny, to niestety będę musiała go zwrócić, gdy zaręczyny zostaną zerwane. Do tej pory nie zdawała sobie z tego sprawy.

Nie miała pojęcia, kto mógł przesłać jej ów prezent. Zaręczyny z lordem Locke'em były tajemnicą dla wszystkich oprócz Perry'ego i księżniczki Zuleiki. Nagle przemknęło jej przez myśl, że prezent mógł przesłać jej sam lord Locke. Może chciał mile ją zaskoczyć i pocieszyć, by nie było jej smutno, że została sama w domu i nie może uczestniczyć w kolacji.

- Zobaczmy, Emily, co jest w środku - rzekła Gytha. - Otwórz pudełko, a ja tymczasem dokończę pisanie listu.

Emily postawiła koszyk na podłodze. Zaczęła rozwijać pakunek, a Gytha kontynuowała pisanie:

... mam nadzieję, kuzynko Bertho, że będziesz mogła przyjechać na pogrzeb dziadka i będziemy miały okazję znów się spotkać.

Szczerze oddana Gytha

Gdy zaadresowała kopertę, Emily otworzyła koszyk. Wydała z siebie okrzyk przerażenia:

- Panienko Gytho! Panienko Gytho! - wykrzyknęła.

Gytha spojrzała. Pojemnik był otwarty, a pokrywka leżała obok. Ujrzała coś ciemnego, zwiniętego w kłębek. Podczas gdy ona przyglądała się, Emily wydała kolejny okrzyk. Wskoczyła czym prędzej na fotel, podciągnęła sukienkę cała drżąc ze strachu. W koszyku był wąż, wielki i jadowity. Wypełził i sycząc poruszał się w stronę biurka, przy którym siedziała Gytha. Dziewczyna wstała szybko, po czym za przykładem Emily wskoczyła na krzesło, a stamtąd na biurko.

- On jest jadowity! Zabije nas! Och panienko Gytho, co z nami będzie!

Wąż odwrócił głowę w stronę służącej, która wrzasnęła przeraźliwie.

Nagle drzwi otworzyły się i w progu stanął lord Locke. Szybko ocenił sytuację i rzekł stanowczym głosem:

- Nie ruszajcie się z miejsca i zachowajcie spokój!

Gytha usłyszała, że zawrócił i pobiegł do holu.

Wąż wijąc się nieustannie w poszukiwaniu ofiary, nagle odwrócił się od Gythy. Pomyślała wówczas, że jest już bezpieczna.

Cała sytuacja zaskoczyła ją wielce i przerażyła. Dziękowała Bogu, że lord zjawił się we właściwym momencie. Szeptała właśnie krótką modlitwę dziękczynną, gdy dobiegły ją z korytarza kroki lorda Locke'a.

Gdy wybiegł z pokoju, od razu domyśliła się, co zamierza zrobić. Sądziła, że udał się po strzelbę. On natomiast dzierżył w dłoni pistolet pojedynkowy jej ojca. Nagle rozległ się strzał, który przeraźliwie głośno zabrzmiał w pokoju. Lord ugodził węża śmiertelnie, choć przez chwilę ogon gada wciąż gwałtownie się poruszał.

W tym właśnie momencie Emily wybuchła płaczem.

- Już po wszystkim - uspokajał ją lord. - Już wam nic nie grozi.

Pokojówka szybko zeskoczyła z krzesła i krzyżąc wniebogłosy wybiegła z pokoju. Lord Locke podniósł węża za ogon do góry, wrzucił do koszyka i nałożył przykrywkę. Następnie podszedł do Gythy i pomógł jej zejść z biurka na podłogę

- Jak na Boga on się tu dostał? - zapytał. Na chwilę wsparła się na jego ramieniu, jakby nie mogła utrzymać się na własnych nogach. Lord zauważył, jak bardzo zbladła.

- Ktoś... przysłał mi ten koszyk... jako prezent ślubny.

- Kto?

- Nie mam pojęcia... Dostarczono go zeszłej nocy... a Emily zupełnie o nim zapomniała. .. i wręczyła mi go dopiero teraz. Człowiek, który przyniósł koszyk, nie powiedział kto jest nadawcą.

Lord Locke nerwowo zacisnął usta.

- Chcę, aby pani natychmiast przeniosła się do Locke Hall - rzekł - i została tam przynajmniej do czasu, gdy ktoś z krewnych zgodzi się sprowadzić tutaj. Wysłałem już list do ciotki, która mieszka w Dower House, z prośbą, by się panią zaopiekowała.

Gytha spojrzała na niego. Wyglądała zupełnie jak dziecko, które czeka, aż powie mu się co ma zrobić. Była taka bezradna i bezsilna. Objął ją ramieniem i powiedział:

- Proszę zostawić wszystko mnie. Niech pokojówka gdy ochłonie z emocji, spakuje pani rzeczy. Zamówiłem już powóz, który zawiezie panią do mojej posiadłości.

- Czy naprawdę mogę z panem jechać? - spytała Gytha.

- Stanowczo na to nalegam! - odpowiedział lord Locke. - Nie sądzę, by kuzyni byli odpowiednim towarzystwem dla pani...

Zamilkł na chwilę, aby zastanowić się, czy ma powiedzieć jej o tym, co go gnębi. Zdecydował jednak, że błędem będzie zatrzymanie dla siebie tego, co się wydarzyło.

- Tym bardziej - kontynuował - że jeden z nich usiłował mnie zabić!

- To niemożliwe!

- Ktoś z ukrycia strzelał do mnie, gdy jechałem dziś Lasem Monk.

- Nie mogę w to uwierzyć - wydusiła z trudem Gytha.

- Gdybym nie schylił się dokładnie w tym momencie - ciągnął lord - kula trafiłaby prosto w moją głowę i nie mógłbym teraz przyjść pani z pomocą.

Gytha wydała okrzyk przerażenia, po czym rzekła:

- To na pewno był Vincent! Zastanawiałam się... w jakim celu wziął strzelbę. Bałam się... że może poszedł strzelać do jeleni.

- On natomiast próbował zabić mnie! - wykrzyknął lord Locke. - Najwidoczniej chce się mnie pozbyć. Musimy oboje mieć się na baczności.

Gytha spojrzała na niego i powiedziała cicho:

- Myślę... że to księżniczka... przysłała mi węża.

- Dlaczego tak pani sądzi? - zapytał lord, choć sam był podobnego zdania. Chciał jednak znać powody, dla których Gytha podejrzewa właśnie ją.

- Powiedziała mi... że pan należy do niej... i że jeśli spróbuję... stanąć wam na drodze... to będę gorzko żałować... swej zuchwałości.

Mówiąc to Gytha wciąż słyszała groźny ton księżniczki. Przypomniała sobie, jak bardzo przeraziły ją jej słowa. Niewątpliwie żadna inna kobieta nie zdobyłaby się na coś tak okropnego jak przysłanie jadowitego węża.

Instynktownie, jakby chcąc schronić się w jego ramionach, przybliżyła się do lorda Locke'a.

- Co mamy począć? - spytała. - Jak poradzić sobie, gdy trzy osoby: Vincent, Jonathan i księżniczka chcą naszej śmierci.

- Jeśli zginę - odparł lord - to na pewno nie z ręki tchórza, który boi się wyjść z ukrycia i stawić mi czoło.

- Nie może pan przecież cały czas czuwać. Lord Locke wiedział, że Gytha ma rację. Nie chciał jednak jeszcze bardziej jej przygnębiać, więc rzekł:

- Teraz musimy uciec stąd jak najszybciej. Jestem pewien, że pani ojciec zgodziłby się ze mną. Dobry generał zawsze wie kiedy się wycofać. Czuł, że przypomniał jej ojca we właściwym momencie.

Po chwili Gytha odezwała się:

- Czuję, że to tata sprawił, iż odważyłam się przyjść do pana z prośbą, by pomógł mi pan uniknąć małżeństwa z jednym z kuzynów. Wiem jednak, że nie chciałby, aby pan choć przez chwilę narażał dla mnie życie.

- Nie życzyłby sobie również, aby zginęła pani od ukąszenia jadowitego węża - stwierdził lord. - Teraz, gdy wiemy już kto nam zagraża, musimy obmyślić plan walki z wrogiem.

Przygarnął ją ramieniem i przytulił niczym brat, następnie rzekł:

- A teraz proszę się pospieszyć i spakować potrzebne rzeczy. Gdy przyjedziemy do mnie, spokojnie wszystko sobie poukładamy, bez obawy, że w fotelach ukryte są skorpiony lub strzelby wymierzone w nas wystają ze świeczników.

Zabrzmiało to tak beztrosko, że Gytha roześmiała się bezwiednie. Uwolniła się z bezpiecznej przystani jego ramion i ruszyła w stronę drzwi. Wychodząc z pokoju odwróciła się i powiedziała:

- Wstyd mi... i jestem przerażona... gdyż wszystkie te okropieństwa wydarzyły się, ponieważ ja... prosiłam pana o

pomoc. Jednak mimo wszystko... w głębi serca dziękuję Bogu... i tacie, że... jest pan tu ze mną.

Gdy wypowiadała ostatnie słowa, oczy zaszły jej łzami. Lord Locke usłyszał jak pobiegła korytarzem. Potem spojrzał na koszyk, w którym leżał zdechły wąż. Z trudem mógł uwierzyć, że takie rzeczy dzieją się w spokojnej i starej Anglii.

Rozdział 6

Lord Locke z niecierpliwością czekał, aż Gytha zejdzie na dół. Powóz już nadjechał. Posłał stajennego do Locke Hall z rozkazem, by ktoś przybył po bagaż Gythy.

Dziewczyna zbiegła na dół po schodach. Zarzuciła czarny, wykończony futrem płaszcz, należący niegdyś do jej matki, a na głowę włożyła kapelusik, od którego odpruła niebieskie wstążki i zastąpiła je czarnymi.

Nie chciała, aby lord Locke zbyt długo czekał na nią. Gdy była już gotowa, podeszła do niego i spytała:

- Czy moglibyśmy porozmawiać zanim wyjdziemy?
- Możemy porozmawiać w czasie jazdy - odpowiedział.

Wiedziała, że niecierpliwi się i pragnie jak najszybciej wyruszyć. Chciał uniknąć niesmacznej awantury, do której doszłoby, gdyby wrócił Vincent i został oskarżony o zamach na życie lorda.

- Proszę pana - rzekła Gytha.

Bez słowa udał się za nią do sąsiedniego pokoju. Gytha zamknęła drzwi i zaczęła:

- Muszę... panu coś... ważnego powiedzieć.
- Co takiego? - zainteresował się lord Locke.
- Poprosiłam pana o pomoc, a pan okazał się taki dobry i wyrozumiały... Lecz nawet przez... chwilę nie myślałam, że będzie pan musiał ryzykować dla mnie życiem.

Wzięła głęboki oddech i kontynuowała;

- Doszłam do wniosku, że powinnam zostać tu... i pomóc swoim kuzynom.

Lord Locke wpatrywał się w nią zaskoczony zastanawiając się, czy jest z nim szczerą. Nie wyobrażał sobie, by jakakolwiek kobieta odrzuciła pomoc, którą jej ofiarowuje. Wszystkie skłonne były raczej wyolbrzymiać problemy, chcąc wzbudzić w nim litość.

- Czy mogę wiedzieć, jak zamierza pani dać sobie radę? - spytał po chwili.

- Zastanawiałam się nad tym - odpowiedziała Gytha. - Wiem, że jeśli zrzeknę się praw do pieniędzy i tej posiadłości... na rzecz Vincenta i Jonathana, to usatysfakcjonuje to ich i przestaną zabiegać o małżeństwo ze mną.

Mówiąc to spuściła wzrok. Lord Locke zauważył jednak przerażenie w jej oczach. Był na tyle blisko, by czuć jak cała drży.

- A co potem stanie się z panią? - zadał pytanie spokojnym tonem.

- Może zgodzą się... bym zatrzymała pewną sumę pieniędzy, za którą wybudowałabym mały domek na terenie posiadłości dziadka... Vincent nie miałby chyba nic przeciwko temu, bym dalej opiekowała się końmi... Sądzę, że jakoś wszystko się ułoży.

- Czy naprawdę myśli pani, że ojciec pani na moim miejscu zgodziłby się na to?

Poczuł, że jego słowa zrobiły na Gythcie wrażenie. Spojrzała na niego z iskierką nadziei w oczach.

- Czy chce pan przez to powiedzieć... - rzekła niepewnym głosem - że podjąłby pan dalsze ryzyko, aby mi pomóc?

- Tak właśnie mam zamiar zrobić - odparł lord Locke. - Wiemy już, kto jest naszym wrogiem i oboje się z nim zmierzmy.

Gytha wyciągnęła rękę, jakby chcąc go dotknąć. Zaraz jednak cofnęła ją i rzekła drżącym głosem:

- Musiałam dać panu szansę... na zostawienie mnie.... To nie jest pana walka.

- Teraz jest już również moja. Nie toleruję ludzi, którzy z ukrycia czyhają na moje życie.

Następnie zupełnie innym tonem dodał:

- Pośpieszmy się! Tracimy czas. Im szybciej znajdziemy się w Locke Hall, tym lepiej. Jednakże jestem pani niezmiernie wdzięczny za troskę o mnie.

Gytha utkwiała w nim wzrok. Jej spojrzenie onieśmieliło go.

Jeśli to dziecko, nie daj Boże, zakocha się we mnie - pomyślał - to sytuacja jeszcze bardziej skomplikuje się.

Niedbałym krokiem skierował się w stronę drzwi, otworzył je i powiedział:

- Tracimy czas, a pewien jestem, że konie padają już ze zmęczenia. Słyszając jego słowa, Gytha wydała z siebie krótki, stłumiony chichot.

Po chwili byli już na zewnątrz. Pomógł jej wejść do powozu. Gdy ruszyli, dziewczyna poczuła jakby lord niósł ją na skrzydłach do nieba, pozostawiając gdzieś w oddali wszystkie nieprzyjemności i niebezpieczeństwa.

Pomknęli zakurzoną drogą. Była ona dużo dłuższa niż ta, która wiodła na skróty przez Las Monk. Cały czas milczeli. Gytha odmówiła szeptem modlitwę dziękczynną. Pozostawiła swych kuzynów oraz zmarłego w mrocznym domu. Kiedy po raz ostatni weszła do pokoju, ciało leżało przygotowane do pochówku. Dziadek wyglądał w trumnie niezwykle dostojnie. Miał dużo sympatyczniejszy wyraz twarzy niż za życia. Gytha odmówiła pacierz za jego duszę. Potem Dobson wyprowadził ją z pokoju mówiąc:

- Proszę nie rozpaczać, panienko Gytho. Pan jest już w niebie, nie będzie dłużej cierpieć.

- Teraz udaję się do Locke Hall i wrócę dopiero na pogrzeb - powiedziała Gytha.

Gdy opuściła posiadłość dziadka, poczuła, że zostawia za sobą mroki przeszłości. W końcu ujrzała światło dzienne.

Dziękuję ci Boże, że pozwalasz by lord Locke mnie chronił - pomyślała w głębi serca. Spojrzała na jego

przystojny profil, rysujący się na tle nieba. Wzrok miał utkwiony w koniach, lecz czuła, że jego wewnętrzny żar przeszywa ją na wskroś. Wiedziała, że wszystko zmieniło się na lepsze dzięki jego niezmiernej dobroci.

Pragnęła wyznać mu, jak wiele dla niej znaczy. Jakby świadom jej uczuć, spojrzął na nią i uśmiechnął się.

Wtedy właśnie zrozumiała, że go kocha. Tak, kocha i to jak bardzo! Zakochała się w chwili, gdy po raz pierwszy ujrzała go na polowaniu. Pomyślała wówczas, że jest najprzystojniejszym i najbardziej fascynującym mężczyzną, jakiego mogła sobie wyobrazić.

Wyglądał zupełnie jak rycerz ze średniowiecznych eposów, które opowiadała jej w dzieciństwie matka.

Miała zaledwie piętnaście lat, gdy zaczęła marzyć o lordzie Locke'u. Namawiała chłopców stajennych, aby opowiadali o jego koniach.

Kiedy wyjechał, rozmawiała o nim ze służącymi. Wielu z nich miało krewnych we wsi, którzy pracowali w posiadłości lorda i jego domu w Londynie. Zawsze mieli coś do opowiedzenia na temat najbardziej podziwianego w całej okolicy człowieka. Historie te dawały pełny obraz odwagi i męstwa młodego dziedzica.

Przyjęcia wydawane przez Locke'a w Londynie, na których honorowym gościem był zawsze książę regent opisywano dziesiątki razy. Gytha słyszała również o pięknych damach, w których towarzystwie bywał. Nie dziwiło jej wcale, że traciły dla niego głowę.

Niemal codziennie w wiejskim sklepiku można było dowiedzieć się czegoś ciekawego na temat lorda.

Właścicielem sklepiku był ojciec pokojówki z Locke Hall i jednego z lokajów. Inny mieszkaniec wsi był krewnym kamerdynera jego lordowskiej mości.

Gytha wiedziała dosłownie wszystko o przyjęciu, jakie lord zamierzał wydać we dworze, zanim jeszcze wydano dyspozycje całej służbie.

Teraz wreszcie zdała sobie sprawę, dlaczego ten mężczyzna tak bardzo ją interesował. Był bohaterem jej marzeń i wielbiła go jak nikogo innego. Lecz z powodu wojny, jaką toczyły między sobą obie rodziny, nie łudziła się nawet, że kiedykolwiek pozna dziedzica Locke Hall. A teraz nagle była z nim, była przy nim, a on obiecał opiekować się nią i troszczyć.

Pomyślała, że żadnej kobiety na świecie nie spotkało takie szczęście jak jej.

- Kocham go! Kocham go! - powtarzała zagłuszana przez turkot kół i tętent końskich kopyt.

Następnie przyrzekła sobie, że musi być ostrożna: on nigdy nie może dowiedzieć się o jej uczuciach.

Perry czekał już na nich przy schodach. Pomógł Gythcie wysiąść z powozu i rzekł:

- Gdzie się podział kapelusz Valianta? Czy wiatr go zdmuchnął?

- Zdmuchnął to właściwe słowo - odparł lord zanim Gytha zdążyła cokolwiek powiedzieć - ale nie zrobił tego wiatr, tylko kula!

Perry wpatrywał się w niego, a lord dodał:

- Opowiem ci wszystko, gdy będziemy sami.

Weszli do holu. Był wypełniony słońcem i Gytha poczuła się tak, jakby wróciła do własnego domu. Lord Locke wskazał drogę do biblioteki. Podeszedł do barku i nalał kieliszek szampana dla siebie i dla Gythy. Potem zwrócił się do Perry'ego:

- Należy nam się za ten cały koszmar, jaki dziś przeżyliśmy.

- Co, na Boga, się wydarzyło? - Perry domagał się wyjaśnienia.

- Kapelusze strąciła mi z głowy kula, którą wymierzono we mnie, gdy jechałem Lasem Monk - powiedział lord - a Gytha otrzymała dziś w prezencie ślubnym jadownego węża.

- Nie mogę w to uwierzyć! - wykrzyknął Perry.

Następnie oboje opowiedzieli mu szczegółowo, co się wydarzyło.

- To Vincent strzelał do mnie - stwierdził lord - a wąż to niewątpliwie orientalny prezent ślubny godny Zuleiki.

- Co zamierzacie zrobić w tej sytuacji? - spytał Perry.

Lord Locke wzruszył ramionami.

- Co mogę zrobić? Wiem, że są winni, ale moje podejrzenia nie będą wystarczającym dowodem w sądzie.

- Nie możesz siedzieć i czekać z założonymi rękami, aż spróbują ponownie - rzucił Perry.

- A co, twoim zdaniem, powinniśmy uczynić? - spytał lord Locke.

Gytha postawiła kieliszek z szampanem na stoliku przy krześle. Ścisnęła dłonie i rzekła:

- Majorze Westington, proszę mnie wysłuchać! Chcę, by pan wytłumaczył jego lordowskiej mości, że jedynym rozsądnym wyjściem z tej sytuacji jest oddanie wszystkich moich pieniędzy kuzynom. Wówczas nie będą mieli powodu... nastawać na życie lorda Locke'a i będzie on bezpieczny.

- Nie ugnę się przed przemocą - oznajmił lord stanowczo.

- Oczywiście, że nie - zgodził się Perry - a gdy przyjdzie ci walczyć, wiedz, że zawsze będę cię wspierał. Nigdy nie widziałem lepszego strzelca od ciebie.

Gytha nie spierała się dłużej. Pomyślała z przerażeniem, że Vincent nigdy nie stanie do otwartej walki. Będzie czyhał gdzieś w ukryciu na stosowny moment. Poczekaj, aż się ściemni i strzeli, gdy lord będzie wsiadał do powozu lub też

wracał z polowania. Następnie ucieknie zanim ktokolwiek go rozpozna.

- Jak mogę go ocalić? - zapytała sama siebie. Czuła, jak wzbiera w niej wielka miłość do

niego. Chciała powiedzieć ukochanemu, że woli sama umrzeć, niżby on miał zostać zabity z jej powodu. Ale nie mogła wydobyć słowa. Wyglądała niczym spłoszona łania. Lord Locke powiedział:

- Nie ma sensu przesadnie się zadreczać. Musimy spokojnie zastanowić się, jak pokonać trudności. Uśmiechnął się.

- A teraz należy nam się dobry lunch. Moja niania powtarzała zawsze, że gdy człowiek jest najedzony, świat wydaje mu się piękniejszy.

Gytha roześmiała się. Lord Locke poprosił, by udała się na górę, gdzie czekała już na nią gospodyni. Zaprowadziła dziewczynę do wielkiej sypialni, która była dużo piękniejsza od tych, jakie dotąd widywała. Panna Sullivan zdjęła kapelusz i rzekła:

- Moje rzeczy niedługo nadejdą. Trochę się wstydzę, ponieważ mam tylko jedną czarną suknię, która niegdyś należała do mojej matki i nie sądzę, bym w najbliższym czasie mogła sprawić sobie jakieś nowe stroje.

Pani Meadows, gospodyni, spojrzała na nią w zadumie. Następnie zaproponowała:

- Myślę, że jeśli nie jest pani zbyt wymagająca to uda mi się znaleźć coś odpowiedniego do czasu, gdy pojedzie pani do Londynu na zakupy.

- Czy naprawdę jest to możliwe? - spytała Gytha. - Ale skąd?

- Siostra jego lordowskiej mości wyjechała z mężem do Indii.

Gytha słuchała z zapartym tchem, a pani Meadows ciągnęła:

- Wyjechała ponad rok temu i zostawiła pod moją opieką wszystkie swe zimowe suknie, ponieważ w gorących krajach nie przydałyby się jej.

- Czy myśli pani, że nie miałyby nic przeciwko temu, gdybym je pożyczyła?

- Nie, oczywiście że nie, panienko. Jestem pewna, że po powrocie jej lordowska mość uzna swe stare stroje za niemodne i sprawi sobie nowe.

- Czy nie jest to zbytnia rozrzutność? - wymamrotała dziewczyna.

Pani Meadows uśmiechnęła się.

- Mąż jej lordowskiej mości, sir Murray Welldon, jest bardzo bogatym, a jednocześnie niezwykle szczodrym człowiekiem, który spełnia wszystkie zachcianki swej żony.

Gytha oczywiście słyszała o starszej siostrze lorda Locke'a i o tym, jak atrakcyjną jest kobietą. Trzy lata temu poślubiła niezwykle energicznego pułkownika Królewskich Dragonów. Gdy Gytha dowiedziała się, że został wysłany do Indii, bardzo ją to zainteresowało. Głównie dlatego, że dużo czytała o podróżach dziadka do tego zachwycającego kraju. Marzyła, by sama również kiedyś mogła odwiedzić tak fascynujące miejsce.

Teraz mogła założyć suknię lady Welldon. Dzięki temu nie będzie musiała wstydzić się swego wyglądu przed lordem Locke'em tak, jak to było zeszłej nocy. Zdawała sobie sprawę, że kobiety typu księżniczki Zuleiki musiały z pogardą patrzeć na jej w domu uszytą suknię.

- Dziękuję - rzekła do gospodyni. - Jest pani niezmiernie uprzejma.

- Myślę panienko - dodała pani Meadows - że nie ma potrzeby występować w ciężkiej żałobie, gdy jest panienka sama z jej lordowską mością i majorem Westingtonem.

Poczekwała na reakcję Gythy i ciągnęła:

- Wiem, że jej lordowską mość ma kilka ładnych, fioletowych sukien, które są odpowiednie do lekkiej żałoby i na pewno będą świetnie pasowały do pani jasnych włosów i białej cery. Będzie panienka wyglądała w nich jak fiołek.

Gytha była poruszona tą propozycją.

Pani Meadows przyniosła dla niej bladofioletową suknię, by mogła założyć ją na lunch. Suknia była modnie skrojona z drogiego materiału, na którego kupno Gythy nie byłoby stać. Dlatego też, schodząc na dół czuła się nieco onieśmielona. Jednocześnie miała nadzieję, że lord Locke uzna, iż wygląda odpowiednio i pasuje do świetności jego domu.

Gdy pojawiła się w salonie, Perry na jej widok wykrzyknął:

- Wygląda pani cudownie niczym kwiatusek, może aż nazbyt ładnie dla tak małego audytorium!

Gytha zapłonęła rumieńcem.

- Piękne piórka czynią pięknego ptaka - rzekła skromnie - jednak niestety, w moim przypadku... piórka są pożyczone.

Jakby szukając aprobaty zwróciła się w stronę lorda i wyjaśniła szybko:

- Ponieważ pokojówka nie przywiozła jeszcze moich własnych sukien, a ta, którą miałam dziś na sobie wyglądała nieświeżo... pani Meadows zaproponowała... bym założyła jedną z kreacji należących do pańskiej siostry.

- Oczywiście, ona nie miałaby nic przeciwko temu - odpowiedział lord. - I jak już Perry zauważył, wygląda pani w niej ślicznie - powiedział to niemal od niechcenia, tak że Gytha nie poczuła się zmieszana.

Jednak serce mocniej zabiło jej w piersiach. Komplement sprawił, że poczuła jakby cały pokój został zalany słońcem.

Nie wiedziała, że zanim zeszła do salonu, Perry zwrócił się do Locke'a:

- Sprawa staje się poważna, Valiancie. Co zamierzasz zrobić?

- A cóż mogę zrobić? - zapytał zatroskany lord.

- Zuleika zachowała się karygodnie - stwierdził Perry - a jeśli chodzi o braci Sullivan, to powinieneś dać im nauczkę!

- Bardzo chciałbym to zrobić - rzekł lord - ale nie jestem pewien, czy uda mi się wyzwać Vincenta na pojedynek, gdyż pewnie wyprze się wszystkiego.

- Wiesz chyba, że dopóki nie podejmiesz odpowiednich kroków, jesteś dla nich wciąż łatwym celem.

- Zdaję sobie z tego sprawę - odpowiedział lord - ale nie mów tego przy Gythcie. Nie chcę jej jeszcze bardziej zdenerwować.

Perry wziął sobie do serca te słowa. Gdy siedli do lunchu od razu nadał rozmowie wesoły ton. Nawet na chwilę nie powracali do fatalnych wydarzeń, które miały miejsce dzisiejszego ranka.

Lord Locke również przyłączył się do rozmowy. Mężczyźni żartowali sobie, a Gytha nie mogła wprost pohamować się od śmiechu. Było tak zabawnie, że gdy skończyli posiłek, Gytha zdała sobie sprawę, iż nigdy tak świetnie się nie bawiła.

Miała jednak wyrzuty sumienia, że śmieje się i żartuje tuż po śmierci dziadka. Jednocześnie czuła niewymowną ulgę, że jest z dala od kuzynów i tego ciemnego, ponurego domu. Chciała cieszyć się i skakać z radości - nareszcie była wolna.

Po lunchu udali się do stajni. Lord Locke pomyślał, że nic lepiej nie odwróci jej uwagi od wydarzeń poranka niż wizyta u koni.

Było ich ponad czterdzieści. Odwiedzili wszystkie boksy. Stajenni wyprowadzili ze stajni najwspanialsze rumaki i oprowadzali je dumnie po dziedzińcu. Po sposobie w jaki się poruszały Gytha domyśliła się ich arabskiego pochodzenia. Zdziwiła obu mężczyzn swą obszerną wiedzą na temat koni i ich hodowli. Podała również stajennemu przepis na skuteczny w działaniu okład z ziół. Obiecał, że przy najbliższej okazji wypróbuje jej recepty.

Czas upływał szybko. Nie mogła wręcz uwierzyć lordowi gdy oznajmił, że jest już po piątej i że herbata czeka na nich w salonie.

Po podwieczorku lord Locke zaprowadził Gythę na górę i poradził, by nieco odpoczęła przed kolacją. Gdy została sama zaczęła zastanawiać się, co też dzieje się w posiadłości dziadka. Wychodząc poprosiła Emily, by przekazała jej kuzynom, że przenosi się do rezydencji lorda.

- Pan Vincent powiedział, że wróci na lunch - odpowiedziała Emily - a pan Jonathan wyjechał chyba do Londynu.

- Do Londynu? - wykrzyknęła Gytha zdziwiona. - Więc na pewno nie wróci dziś na noc.

- Powiedział, że może przyjechać bardzo późno, ale wróci na pewno.

Gytha zastanawiała się w jakim celu udał się do Londynu. Nagle przeszło jej przez myśl, że może pojechał skonsultować się z prawnikiem. Zapewne poradzi się, jak można obalić testament dziadka. Myśl ta dręczyła ją i sprawiła, że jak najszybciej chciała uciec gdzieś daleko. Jednocześnie wiedziała, że powinna pozwolić lordowi uwolnić się od siebie.

Leżała na łóżku w ślicznej sypialni, w koronkowym negliżu należącym do siostry lorda.

Czuła, jakby nieoczekiwanie znalazła się w bajce i jakby zamieniła się w baśniową księżniczkę. Nigdy nie marzyła, że

znajdzie się kiedyś w takim urzekającym i luksusowym wnętrzu.

Następnie wzięła kąpiel w wodzie pachnącej różami.

Pani Meadows przygotowała dla niej dwie wieczorowe suknie. Miała wybrać sobie tę, która bardziej jej odpowiada. Pierwsza z nich uszyta była z miękkiego materiału w kolorze bladofiołkowym, prawie takim jak suknia w której wystąpiła na obiedzie. Druga natomiast była biała, prosta ale modnie skrojona z białego szyfonu. Obie tak prześliczne, że miała trudny wybór. W dodatku w niczym nie przypominały one żałobnego stroju.

Zawahała się przez chwilę.

- Czy na pewno mogę ją włożyć? - zapytała skwapliwie panią Meadows wskazując na białą kreację.

- Oczywiście, że tak. Jestem pewna, że będzie panienka wyglądała w niej uroczo.

- Czy aby na pewno jej lordowska mość nie miałaby nic przeciwko temu?

- Jestem przekonana, że nie. Gdy ostatni raz miała na sobie tę suknię powiedziała, że nie może już na nią patrzeć i że ma ją na sobie ostatni raz.

Gytha założyła suknię i zauważyła, iż doskonale podkreśla ona jej zgrabną figurę. Nie do wiary, że komuś mogła znużyć się taka śliczna kreacja. Z pewnością była ona dziełem drogiego dworskiego krawca.

Pani Meadows pomogła ułożyć jej włosy według najnowszej mody. Następnie wsunęła w nie dwie białe kamelie, a kilka umocowała przy dekolcie. Gytha spojrzała w lustro. Pomyślała, że nigdy wcześniej nie wyglądała tak ładnie.

Przypomniała sobie komplement lorda Locke'a. Może znów powie jej coś równie miłego.

Podziękowała za wszystko pani Meadows i zeszła po schodach do salonu.

Czuła się jak księżniczka z bajki. Była już na dole, gdy podszedł do niej lokaj i rzekł:

- Przepraszam, panienko, jakaś starsza kobieta czeka na zewnątrz w karecie i chce z panienką rozmawiać. Mówi, że nie czuje się na siłach, by wyjść z powozu i prosi, by panienka do niej przyszła.

- Starsza kobieta? - zdziwiła się Gytha. - Ciekawe, kto to taki.

- Nie przedstawiła się. Powiedziała tylko, że chce się widzieć z panienką w ważnej sprawie.

Gythcie przemknęło przez myśl, że być może to ktoś ze służby z majątku dziadka.

- Oczywiście, że zejdę i porozmawiam z nią - oznajmiła lokajowi.

- Na dworze jest bardzo zimno, panienko - rzekł - proszę poczekać, przyniosę panience jakieś nakrycie.

Podszedł do dużej, rzeźbionej szafy, stojącej w rogu holu i wyjął z niej futrzany płaszcz. Narzucił go Gythcie na ramiona.

- Bardzo dziękuję, to miłe z twojej strony. Zbiegła lekko po schodach i podeszła do powozu. Woźnica otworzył jej drzwi. W przyciemnionym świetle ujrzała siedzącą w środku postać.

- Ktoś chce ze mną mówić? - zapytała. Ledwie zdążyła wypowiedzieć te słowa, gdy woźnica popchnął ją delikatnie, a z powozu wysunęła się ręka i wciągnęła dziewczynę do środka. Potem drzwi zamknęły się i konie ruszyły naprzód galopem.

- Co się dzieje? Co wy robicie? - wykrzyknęła Gytha.

Rzekoma stara kobieta zrzuciła z głowy szal i z ciemności wyłoniła się postać Vincenta.

- Kuzyn Vincent! - zawołała. - Co robisz? Jak śmiesz się tak zachowywać!

Nagle Jonathan, który siedział niewidoczny na podłodze, zrzucił z siebie koc. Podniósł się i usiadł tyłem do kabiny woźnicy. Patrzyła na niego z niedowierzaniem. Na jego usta wkradł się szyderczy uśmiech i odezwał się nieprzyjemnym, słodkim głosem:

- Droga, mała Gytho! Jak miło znów cię widzieć!

- Nie macie prawa tak się zachowywać! - rzuciła Gytha ze złością.

- Mamy do tego pełne prawo - odezwał się Vincent. - Wymknęłaś się chyłkiem z domu podczas naszej nieobecności. Jak mogłaś postąpić tak haniebnie i uciec, gdy twój biedny dziadek nie został jeszcze pochowany.

Gytha cofnęła się na tylnym siedzeniu i zaszyła w samym rogu powozu. Odsunęła się od Vincenta tak daleko, jak było to tylko możliwe. Zrozumiała przerażona, że została porwana z posiadłości lorda Locke'a.

- Uciekłaś w takim popłochu, nie mówiąc nawet do widzenia - rzekł Vincent sarkastycznie cedząc słowa. - Postanowiliśmy więc z Jonathanem, że nie ma sensu dalej rozprawiać nad twą przyszłością.

- Co masz na myśli? - spytała Gytha.

- Jedziemy właśnie do kościoła - odpowiedział - gdzie ja, jako najstarszy członek rodziny mam zamiar cię poślubić.

Przez chwilę Gytha miała nadzieję, że może się przesłyszała. Następnie wrzasnęła wpadając w szal:

- Jak śmiesz zachowywać się w tak bezwstydnym sposób! Jeśli naprawdę sądzisz, że za ciebie wyjdę, to jesteś w wielkim błędzie!

- Nie masz wyjścia moja droga Gytho - oznajmił Vincent szorstkim tonem. - W kieszeni mam naładowany pistolet. Jeśli

spróbujesz sprzeciwić się mojej woli, to nie zawaham się zranić cię na tyle dotkliwie, że już drugi raz mi nie uciekniesz.

Zamilkł na chwilę, po czym warknął:

- Kula w nodze okaleczy cię przynajmniej na miesiąc.

Gytha była przerażona i zła, więc zupełnie bezmyślnie rzekła:

- Może spudłujesz, tak jak chybiłeś celując dziś rano w lorda Locke'a.

- Więc już wiesz, że to ja strzelałem - burknął Vincent. - Nie będę musiał zabijać go, gdy ty zostaniesz już moją żoną.

- Nie ma potrzeby byś się ze mną żenił - stwierdziła Gytha. - Oświadczyłam już lordowi Locke'owi, że zamierzam zrzec się na waszą korzyść całego majątku i domu, jeśli tylko zostawicie mnie i jego lordowską mość w spokoju.

- To bardzo szlachetnie z twojej strony - odpowiedział Vincent kpiącym tonem - ale obawiam się, że moglibyśmy mieć kłopoty z zarządem powierniczym ustanowionym przez wuja Roberta.

Jego głos stał się jeszcze bardziej nieprzyjemny gdy dodał:

- Gdy będziesz moją żoną wszystko stanie się proste.

- Nie poślubię cię... stanowczo odmawiam! - załkała Gytha.

- Wówczas będę musiał posunąć się do ostateczności, a ja nigdy nie rzucam słów na wiatr - odparł Vincent. - Jestem pewien, że nawet lekko oszołomiona bólem, zdołasz powtórzyć po mnie słowa małżeńskiej przysięgi.

Gytha milczała, a Vincent dorzucił:

- Oczywiście, jeśli nie będziesz przysparzała trudności, jestem gotów dać ci słowo, że zostawię lorda Locke'a w spokoju.

Roześmiał się szyderczo, po czym rzekł:

- Spodziewam się, że pewnie jak te wszystkie głupie kobiety zdążyłaś stracić już dla niego głowę. Dlatego

odetchniesz z ulgą, gdy dowiesz się, że z mojej strony nic już mu nie grozi.

Gytha wzięła głęboki oddech. Vincent okazał się bardziej spostrzegawczy niż myślała. Był na tyle sprytny, że domyślił się jej uczuć. Wiedział również, iż jest gotowa poświęcić się, by uratować lorda Locke'a.

Zdesperowana chwyciła się ostatniej deski ratunku i zaproponowała:

- Jeśli ty i Jonathan weźmiecie moje pieniądze, jestem pewna, że problem będzie rozwiązany. Jedyne o co poproszę, to mały domek gdzieś na terenie posiadłości i kawałek ziemi, by móc trzymać konie.

- Jest już za późno - odpowiedział Vincent. Obrzucił ją pogardliwym spojrzeniem, po czym dodał:

- Przemyślałem już wszystko i stwierdziłem, że doskonale nadajesz się na moją żonę. Jonathan był tak miły i zdobył specjalne zezwolenie, więc nie będzie żadnych problemów, chyba że ty ich przysporzysz.

- Pomyśleli o wszystkim - dumiała Gytha zrozpaczona.

Zdała sobie sprawę, że została złapana w pułapkę i nie widząc dla siebie żadnego wyjścia zaczęła się modlić. Modliła się do ojca i lorda Locke'a.

Powóz toczył się po leśnej drodze, a ona powtarzała raz za razem.

- Uratuj mnie! Uratuj mnie!

Lord Locke zszedł na dół do salonu chwilę po tym, jak Gytha wyszła z domu.

Ujrzał lokaja stojącego w otwartych drzwiach i spytał ostrym głosem:

- Jest bardzo zimno. Dlaczego nie zamkniesz drzwi?

- Pomyślałem, że panienka Sullivan zaraz wróci.

- Panienka Sullivan?

Bates przybiegł słysząc głos lorda, a za nim podążał drugi lokaj.

- Przepraszam milordzie - zaczął Bates. - Ja...

Lord Locke jednak nie słuchał.

- Czy chcesz powiedzieć, że panienka Sullivan wyszła? - zapytał lokaja, który zamykał drzwi.

- Tak, milordzie. Podjechał powóz, w którym siedziała stara kobieta i życzyła sobie rozmawiać z panienką Sullivan. Kiedy panna Gytha zeszła na dół i znalazła się przed drzwiami powozu, woźnica wepchnął ją do środka! Widziałem to na własne oczy!

- Co ty wygadujesz? - powiedział lord Locke zakłopotany. - Nic nie rozumiem.

Zaraz zjawił się Bates i rzekł ostro:

- Mów! Jego lordowska mość chce wiedzieć dokładnie, co się wydarzyło.

- To było tak - odparł lokaj. - Powiedziałem panience Sullivan, że ta stara kobieta chce się z nią widzieć, a nie czuje się dobrze, więc panienka zgodziła się sama pójść do niej i spytać czego chce.

Przerażony lokaj czuł na sobie groźne spojrzenia lorda Locke'a i Batesa.

- Podałem jej futrzany płaszcz, milordzie - dodał, próbując się usprawiedliwić - bo bałem się, że zmarznie.

- Tak, tak - rzekł lord. - Co się dalej wydarzyło?

- Jak już mówiłem, milordzie, panienka Sullivan zajrzała do środka, a woźnica wepchnął ją i zatrzasnął drzwi. Po czym powóz odjechał. Nie mogę uwierzyć, że to się stało!

Lord Locke zastanowił się przez chwilę, a potem spytał:

- Czy kiedykolwiek wcześniej widziałeś ten powóz lub ludzi, którzy w nim siedzieli?

- Nie, milordzie.

Zapadła cisza. Następnie lokaj oznajmił niepewnym tonem:

- Miałem wrażenie, milordzie, że gdy powóz ruszył, ujrzałem za oknem pana Jonathana Sullivana.

Lord Locke zwrócił się do Batesa:

- Poślij kogoś zaraz do stajni, by osiodłał i przyszykował dwa konie. Zrób to jak najszybciej.

- Zgodnie z rozkazem, milordzie!

Bates powtórzył polecenie lokajowi stojącemu obok.

Lord ruszył szybko hołem i wszedł do salonu. Zgodnie z przypuszczeniem Perry, który już wcześniej zszedł na dół, stał przy kominku, a w rękę trzymał kieliszek szampana.

- Porwali Gythę! - obwieścił lord Locke.

- Porwali ją? Kto?

- Bracia Sullivan! Myślę, że zawiozą ją z powrotem do majątku sir Roberta. Jeśli pojedziemy przez wieś, będziemy tam przed nimi.

Perry odstawił szklanę. Słowa lorda zabrzmiały jak rozkaz. Zwrócił się do Westingtona tak, jak niegdyś w armii, ostrym i stanowczym tonem. Był to rozkaz, który należało bezzwłocznie wypełnić.

Perry przeszedł przez pokój.

- Mamy się przebrać? - spytał.

- Nie, nie ma teraz na to czasu.

Perry przyjął tę decyzję bez słowa sprzeciwu. Gdy znaleźli się w korytarzu, lord zwrócił się do Batesa:

- Przygotuj dla nas wieczorowe płaszcze i powóz zaprzęzony w cztery konie. Jedziemy do posiadłości Sullivanów.

Perry założył płaszcz i kapelusz, a lord odszedł gdzieś szybkim krokiem. Westington zgadł, że udał się pewnie do magazynu z bronią. Wrócił trzymając dwa pistolety w dłoni.

Konie przyprowadzono już ze stajni.

Lord wręczył jeden z pistoletów koledze i rzekł:

- Jest naładowany.

Bez słowa Perry włożył broń do kieszeni. Zarzucili płaszcze na ramiona, zeszli po schodach i wskoczyli na siodła. Popędzili galopem. Lord wskazał najkrótszą drogę, która prowadziła przez Las Monk.

Bates przyglądając się odjeżdżającym wykrzyknął z trudem chwytając oddech:

- Odkąd żyję nie widziałem nic podobnego.

Rozdział 7

Ociemniało się. Jeźdźcy wjechali do lasu i nieco zwolnili. Lord przypomniał sobie, że to właśnie w tym miejscu o mały włos nie został zabity. Myśl o tym doprowadzała go do szału. Przysiągł sobie, że gdy dopadnie Vincenta da mu porządną nauczkę.

Potem zaczął martwić się o Gythę. Zdał sobie sprawę, jakim szokiem musiało być dla niej porwanie. W wyobraźni widział jej przerażone czarne oczy. Błagała go o ratunek. Wiedział, że musi to zrobić jak najszybciej.

- Nie do pomyślenia jest, by ktokolwiek tak brutalnie traktował kobietę - wymamrotał pod nosem.

Następnie uświadomił sobie, że tak naprawdę chodzi mu nie o jakąś kobietę, ale o Gythę. Była taka bezbronna, taka wrażliwa i płochliwa. Przypomniał sobie jak cała drżała, gdy przybyła po raz pierwszy do Locke Hall, z prośbą o pomoc. Robiła wrażenie takiej wstydlivej istoty. Nie była nawet w stanie wydusić z siebie, po co przybyła. Unikała jego wzroku.

Wstydlivość była cechą, którą rzadko spotykał w kobietach. Wydawały się wówczas takie niewinne i ponętne. Gytha wyglądała cudownie, gdy oblewała się rumieńcem, a długie aksamitne rzęsy kładły się na bladych policzkach. Jej skóra przypominała wówczas niebo o brzasku.

- Jest taka piękna - rzekł do siebie. - Gdybym ją zabrał do Londynu i pokazał w towarzystwie, podbiłaby serca wszystkich. Chociaż to mogłoby ją zepsuć. Chciałbym, by pozostała naturalna: nieskazitelnie czysta, skromna, delikatna i słodka jak żadna inna kobieta.

Przy tym panna Sullivan jest również niesłychanie inteligentna. Perry pierwszy to docenił.

- Jest po prostu wyjątkowa - pomyślał. - Jak bardzo bolesne musi być dla niej tak straszne przeżycie. - Nie miał

pojęcia, że coś podobnego może w ogóle spotkać taką młodą dziewczynę.

Kto mógł podejrzewać, że Gytha zostanie porwana z jego domu i zmuszona przez swych podłych kuzynów do poślubienia jednego z nich.

- Zabiję ich za to - wycedził przez zęby. Puścił konia ostrym galopem. Perry również

przyspieszył, żeby nie zostać w tyle. Gdy dojechali na miejsce, posiadłość Sullivanów tonęła w mroku, W żadnym oknie nie świeciło się światło. Lord Locke zatrzymał konia i przywiązał do jednego z drzew. Perry stanął tuż obok kolegi.

- Myślę, że przybyliśmy tu przed nimi. Główna droga jest dużo dłuższa niż ta prowadząca na skróty przez las. Mogą przyjechać w każdej chwili - stwierdził lord.

Perry nie odpowiedział. Poprawiał płaszcz. Pomyślał, że bardzo niewygodnie jest jeździć konno w wieczorowym stroju. Obaj z lordem mieli na sobie rurkowate spodnie wymyślone przez księcia regenta. Na mniej uroczyste okazje zakładali spodnie do kolan, które dotychczas stanowiły obowiązkowy strój do kolacji.

- Dom wygląda wyjątkowo ponuro - odezwał się wreszcie Perry.

- Sir Robert nie został jeszcze pochowany - odparł lord. Mówiąc to odwrócił głowę. Patrzył na drogę. Na samym końcu znajdował się cmentarz, na którym miał spoczywać sir Robert. Perry odwrócił się, spojrział w tym samym kierunku i nagle krzyknął:

- Czy tam w oddali widać kościół? Jeśli tak, to właśnie odprawiana jest msza.

Lord Locke ujrzał światło przebijające przez gałęzie drzew.

- Na Boga! Na pewno tam zabrali Gythę! - zawołał.

Puścili konie galopem i pomknęli wzdłuż drogi. Dojechali do bramy. Zgodnie z oczekiwaniami na dziedzińcu stał powóz. Na koźle siedział woźnica, a przy koniach lokaj.

Lord Locke zeskoczył z siodła. Oстрыm, rozkazującym tonem rzekł do lokaja:

- Przypilnuj naszych koni!

Następnie pobiegli wąską ścieżką prowadzącą do drzwi kościoła.

Powóz przejechał niemal milę, zanim Gytha odezwała się znowu. Powiedziała cichym, błagalnym głosem:

- Proszę... kuzynie Vincencie... Wysłuchaj mnie. Jestem gotowa oddać ci wszystko co do grosza, jeśli tylko zgodzisz się, bym za ciebie nie wychodziła.

- Nie zamierzam z tobą dłużej dyskutować - odrzekł Vincent ostrym tonem. - - Poślubisz mnie i pamiętaj - ja nie żartuję. Zranię cię boleśnie, jeśli będziesz mi się sprzeciwiała - warknął. - Mogę cię zapewnić, że następnym razem twój drogi lord już mi się nie wymknie.

- Może raczej droga, mała Gytha poślubi mnie? - wtrącił Jonathan.

- Zamknij się - krzyknął Vincent groźnym głosem. - Nie chcę, by ktoś zniweczył mój plan. Obiecałem przecież zająć się tobą, gdy tylko dostanę pieniądze Gythy.

- Mam nadzieję, że dotrzymasz słowa - jęknął Jonathan.

- Ublizasz mi swoim brakiem zaufania! - odpowiedział Vincent.

Słuchając kłótni kuzynów Gytha miała ochotę krzyczeć. Obawiała się, że będzie musiała wysłuchiwać takich awantur przez resztę swego życia. Niewątpliwie kością niezgody pozostaną zawsze jej pieniądze.

Była to przerażająca myśl.

Znów zaczęła modlić się za lorda Locke'a. Czowała jak cała jej dusza rwie się ku niemu. Stopniowo zamierała w

dziewczynie nadzieja na ratunek. Gdy poślubi Vincenta, nie będzie już ucieczki. Nikt, nawet lord nie zdoła mu jej odebrać.

- Kocham... cię. Kocham... cię! - załkała w głębi serca. - Przybądź mi z pomocą! Och! Uratuj mnie!

Konie zatrzymały się. Przez okno powozu ujrzała bramę cmentarną i zdała sobie sprawę, że ostatnia iskierka nadziei już zgasła.

Lokaj zsiadł z kozła, by otworzyć drzwi.

Jonathan wysiadł pierwszy, a za nim wyszedł Vincent. Wzięli Gythę w środek i ruszyli ścieżką, która prowadziła do kościoła. Czuła się jak więźniarka prowadzona na miejsce egzekucji.

Gdy mijała grób matki, zaszlochała:

- Pomóż mi mamó, błagam! Jeśli mam... wyjść za Vincenta... to wolę umrzeć... niż spędzić resztę życia... u jego boku.

Był to krzyk rozpacz. Miała wrażenie, że pogrąża się w morskiej otchłani. Przekroczyli próg kościoła. Świece paliły się przy ołtarzu. Stary wikary, który chrzczył ją i którego znała całe życie już czekał. Teraz on był jej ostatnią szansą. Był stary i powoli tracił słuch. Wiedziała, że gdyby go poprosiła, odmówiłby udzielenia im ślubu.

Vincent od razu domyślił się, co chodzi Gythcie po głowie. Zatrzymał się i szepnął do ucha dziewczyny:

- Jeśli będziesz usiłowała pokrzyżować mi plany starając się nie dopuścić do ceremonii, zastrzelę i ciebie, i wikarego. Trzymaj więc język za zębami, chyba że chcesz ujrzyć jego krew na swych rękach.

Gytha milczała. Zamknęła oczy. Nie mogła uwierzyć, że mężczyzna, który nosi nazwisko Sullivan, postępuje tak nikczemnie.

Vincent podał jej ramię i ruszyli dostojnie nawą kościoła. Jonathan podążył za nimi. Doszli do schodów przy ołtarzu i

zatrzymali się przed wikarym. Starzec miał słaby wzrok i ledwie widział Gythę przez okulary.

- Niech Bóg cię błogosławi, moje dziecko - powiedział. - Rozumiem, że chcesz dziś poślubić swego kuzyna Vincenta.

Gytha otworzyła usta, by powiedzieć, że jest to ostatnia rzecz jakiej pragnie.

- Masz tu specjalne zezwolenie - rzekł Vincent ostro - i rób co do ciebie należy.

Mówił w sposób obraźliwy nawet dla służącego. Jego ton uwłaczał godności starego duchownego. Wikary spojrzał na Vincenta z wyrzutem. Gytha miała cień nadziei, że odmówi udzielenia im ślubu, on jednak otworzył modlitewnik i rozpoczął ceremonię ślubną.

- Drodzy wierni, zgromadziliśmy się tutaj...

- Daruj sobie! - rozkazał Vincent. - Udziel nam wreszcie ślubu!

- Odprawiam ceremonie ślubne od wielu lat, panie Sullivan - oświadczył wikary spokojnie - i nie mam zamiaru zmieniać niczego, co jest w modlitewniku.

- Dobrze, już dobrze - odparł Vincent ponurym głosem - ale nam się spieszy.

Oburzony zachowaniem Vincenta wikary powoli zaczął jeszcze raz od początku:

- Drodzy wierni, zebraliśmy się...

W tym momencie doszedł ich odgłos czyichś kroków za drzwiami kościoła. Gytha wstrzymała oddech. Usłyszała jak ktoś otwiera drzwi. Z drzeniem serca zdała sobie sprawę, kto wszedł do środka.

- Przerwij ceremonię! - zagrzemiał głos lorda Locke'a i rozniósł się echem po całym budynku.

Gytha odwróciła się i ujrzała jak lord biegnie w stronę ołtarza. Jednocześnie spostrzegła, iż Vincent wyjmuje z kieszeni pistolet.

- Uważaj! Uważaj! - krzyknęła. - On chce cię zastrzelić!

Rzuciła się w stronę Vincenta, usiłując wytrącić mu z ręki pistolet wycelowany w lorda.

Vincent gwałtownie odepchnął ją od siebie. Przypadkowo nacisnął spust. Pistolet wypalił z hukiem, a pocisk utkwiał w jednym z filarów.

To dało lordowi Locke'owi czas, by dobiec do Vincenta. Zadał mu mocny cios w szczękę. Młody Sullivan przeleciał przez poręcz i upadł tracąc przytomność.

Jonathan krzyknął z przerażenia. Lord Locke odwrócił się i zadał mu podobny cios pięścią. Drugi kuzyn wylądował z hukiem na kamiennej podłodze.

Gytha zachwiała się, gdy Vincent odepchnął ją mocno, ale udało jej się zachować równowagę. Z błyskiem w oczach rzuciła się w stronę lorda i krzyknęła:

- Wreszcie! Modliłam się, by pan przybył i uratował mnie... choć obawiałam się... że będzie już na to za późno.

Gdy spoglądał na dziewczynę, usłyszał drżący głos wikarego:

- Co się stało? Kto zachowuje się tak w domu bożym?

- Przepraszamy bardzo, ojcze - rzekła Gytha niepewnym głosem - ale Vincent chciał poślubić mnie wbrew mojej woli. Lord Locke pospieszył mi z pomocą.

- Wbrew twojej woli, dziecko? - powtórzył wikary. - Dlaczego od razu mi nie powiedziałaś? Pomyślałem sobie, że pośpiech w takich sprawach nie wróży nic dobrego, ale nie chciałem sprzeciwiać się waszej woli.

- Jutro wszystko dokładnie ojcu wyjaśnię - powiedział lord Locke - ale najpierw muszę zabrać stąd Gythę.

Spokojnym, łagodnym głosem ciągnął:

- Niech wielebny lepiej wróci na plebanię i zostawi braci Sullivan, aż odzyskają przytomność.

Wikary rozglądał się oszołomiony. Lord Locke spostrzegł, że na stole przy ołtarzu leży specjalne zezwolenie. Przechylił się nad poręczą i podniósł je stamtąd.

Zobaczył Vincenta leżącego niezgrabnie po drugiej stronie poręczy. Na ustach nieprzytomnego malował się błądy uśmiech.

Lord przygarnął Gythę ramieniem i poprowadził nawą kościoła. Perry przeprosił jeszcze raz wikarego i podążył za nimi.

Ściemniało się, gdy wyszli na dziedziniec. Na niebie pojawiły się pierwsze gwiazdy.

Gdy doszli do bramy cmentarnej, lord ujrzał światła powozu, który zbliżał się w ich stronę. Był zaprzężony w cztery konie.

Lord objął Gythę ramieniem i poczuł jak cała drży. Powóz zatrzymał się i lokaj zeskoczył z kozła.

- Odprowadź Herkulesa do domu, Jamesie - rozkazał. - Major Westington wskaże ci drogę.

- Zgodnie z rozkazem, milordzie. Stajenny Vincenta wciąż pilnował koni lorda i Perry'ego. Zdziwiony przyglądał się wszystkim z rozdziawionymi ustami.

Perry otworzył drzwi do powozu. Lord Locke pomógł Gythcie wejść do środka i powiedział coś cichym głosem do Perry'ego. Gytha była pewna, że daje mu jakieś polecenia. Nie słyszała jednak dokładnie jego słów.

Myślała tylko o tym, że lord uratował ją niczym Archanioł Michał. Zjawił się w ostatniej chwili, gdy była już przekonana, że jest całkowicie stracona.

Usłyszała głos Perry'ego:

- Zrobię co każesz, Valliancie. I pozwól, że wyrażę swój podziw dla ciebie; dwa ciosy rozstrzygnęły walkę. Dawno nie widziałem cię w tak wspaniałej formie.

- Sam jestem z siebie zadowolony - przyznał lord z uśmiechem.

Wsiadł do powozu. Konie zawróciły i ruszyły w stronę domu. Lord Locke otoczył Gythę ramieniem i przygarnął ją do siebie delikatnym ruchem.

- Już wszystko skończone - rzekł spokojnym głosem. - Już nigdy nic podobnego nie przydarzy się pani.

Wówczas po raz pierwszy, odkąd przybyła do Locke Hall, Gytha rozplakała się. Ukryła twarz na jego ramieniu. Płakała z wdzięczności, że jej modlitwy zostały wysłuchane.

- Uratował mnie pan, uratował mnie pan... - wyszeptała. - Pomyślałam, że jeśli będę musiała wyjść za Vincenta, to wolę umrzeć.

- Już wszystko skończone - powtórzył lord.

Gdy to mówił, delikatnie dotknął jej ramienia i poczuł, że jest zimna jak lód.

- Przemarzła pani do szpiku kości! - wykrzyknął.

Odpiął płaszcz. Zsunął go z ramion i okrył nim Gythę. Ponownie przytulił ją i dziewczyna przestała płakać.

- W jaki sposób odnalazł mnie pan? Obawiałam się, że nie domyśli się pan dokąd mnie zabrano i nie zdąży na czas, by zapobiec ślubowi.

- Proszę już o tym nie myśleć.

Spojrzała mu w oczy. W powozie była zapalona latarnia i w jej świetle dostrzegł w oczach Gythy przerażenie. Usta dziewczyny drżały, gdy mówiła:

- Vincent powiedział, że jeśli za niego nie wyjdę to on zabije pana.

- Czy tak to panią zmartwiło? - spytał lord Locke.

- Zmartwiło mnie? - powtórzyła Gytha. - Jak może pan zadawać takie głupie pytania. Nie mogłabym znieść, by ktoś zrobił panu krzywdę.

Gdy to mówiła, głos jej zamierał. Ogarnął ją strach na myśl, że wciąż grozi im niebezpieczeństwo.

- Jeśli naprawdę tak się pani o mnie martwi - powiedział lord - to bardzo łatwo możemy zaradzić tej sytuacji.

- Zaradzić? W jaki sposób?

Znów łzy zaczęły spływać po policzkach dziewczyny. Lord Locke wyjął chusteczkę i otarł je.

- Tak, znam rozwiązanie naszego problemu. Boję się jednak powiedzieć, co mam na myśli, gdyż obawiam się, że mój pomysł może się pani nie spodobać.

- Nic nie rozumiem.

Zamilkł na chwilę. Następnie patrząc jej w oczy oznajmił:

- Myślę Gytho, że jeśli naprawdę tak bardzo pani martwi się, że kuzyni zabiją mnie lub wyrządzą mi krzywdę, to dowód, że trochę mnie pani lubi.

- Oczywiście, że pana lubię - wyszeptała Gytha. - Jest pan wspaniały, taki cudowny. Tylko pan mógł mnie ocalić.

- I lubi mnie pani tylko za to, czy może jest jeszcze jakiś inny powód?

Głęboko patrzyła mu w oczy, nie mogąc odwrócić spojrzenia. W żaden inny sposób nie mogłaby lepiej wyznać swoich uczuć. Nigdy żadna kobieta nie patrzyła na niego z takim uwielbieniem.

- Powiedz, co do mnie czujesz? - spytał łagodnie.

Zrozumiała, co ma na myśli. Ciemne zasłony rzęs rzuciły cień na jej policzki. Wzruszona pochyliła głowę. Lord Locke dotknął ustami jej czoła i rzekł:

- Myślę skarbie, że mnie kochasz. Poczul jak drżącym głosem wyszeptała:

- Oczywiście, że cię kocham. Jak mogłabym nie kochać kogoś tak wspaniałego. Nie chciałam jednak zdradzić ci moich uczuć.

- Ja również cię kocham.

Gytha zamarła. Następnie podniosła głowę i spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Kochasz mnie? - rzekła niemal bezgłośnie.

- Tak, kocham cię - odpowiedział łagodnie. - Kocham cię już od dawna, ale nie zdawałem sobie z tego sprawy.

Zniżył nieco głos i kontynuował:

- Kiedy dowiedziałem się o porwaniu, zrozumiałem, że gdybym cię stracił, straciłbym również coś najdoskonalszego i najcenniejszego, co miałem w życiu.

Gytha odezwała się tłumiąc płacz:

- Jak możesz mówić takie rzeczy? Jak możesz tak myśleć?

- Mogę myśleć i mogę mówić, gdyż cię kocham i chcę wciąż opowiadać ci o swojej miłości.

Uśmiechnął się.

- Więc najdroższa, żebyś zawsze mogła być już bezpieczna i by nikt mi ciebie więcej nie porwał, dziś wieczór pobierzemy się.

Gytha patrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Zamierzam zmienić nazwisko pana młodego na specjalnym zezwoleniu, które zdobył twój kuzyn Vincent.

Uśmiechnął się do niej i dodał:

- Arcybiskup Canterbury był niegdyś kapelanem mego ojca w Locke Hall, więc jestem przekonany, że zrozumie mój pośpiech.

- Naprawdę chce mnie pan poślubić? - spytała Gytha.

- Tak, zamierzam się z panią ożenić. To rozwiąże wszystkie nasze problemy i skończy z podejrzanymi prezentami ślubnymi.

- Jak może pan być pewien, że wszystkie nasze kłopoty znikną na zawsze? - głos Gythy załamał się.

Czuł, że ona znów się boi. Przytulił ją do siebie i powiedział:

- Pierwszą rzeczą jaką zrobimy jutro, zanim udamy się na nasz miesiąc miodowy...

- Miesiąc miodowy? - wyszeptała Gytha.

- ...Miesiąc miodowy - powtórzył lord Locke - wezwiemy moich prawników. Oboje podpiszemy akt prawny, w którym zobowiązemy się przekazywać twym kuzynom pięć tysięcy funtów rocznie. Dostaną również dom w Londynie, który będzie ich własnością tak długo, jak my będziemy żyli.

Jego głos zabrzmiał surowo, gdy dodał:

- Jeśli któreś z nas umrze, moc prawna dokumentu wygaśnie i dom przestanie być ich własnością.

Gytha wykrzyknęła:

- To brzmi zachwycająco... bardzo, bardzo mądrze.

- Myślę, że zapewni nam to bezpieczeństwo, gdyż bracia Sullivan zamiast starać się nas zabić, będą robili wszystko, by nas chronić.

- Jest pan taki cudowny.

- Jeśli chodzi o naszych pozostałych wrogów - ciągnął lord - to w przypadku, gdyby cokolwiek zdarzyło się mojej żonie, ja pograżę się na długo w żałobie.

Gytha dokładnie rozumiała, co miał na myśli. Rzekła więc:

- Jest pan taki sprytny i pomysłowy. Teraz mogę być szczęśliwa i nie muszę się już dłużej bać.

- Koniec zmartwień. Będziemy wspólnie cieszyć się życiem.

Dotknął palcami jej brody. Delikatnym ruchem odwrócił głowę dziewczyny w swą stronę. Następnie powoli, jakby rozkoszując się tą chwilą, przywarł swoimi gorącymi ustami do jej ust. Gytha poczuła, jakby niebo otworzyło się przed nią i jakby unosiła się w stronę gwiazd. Całował ją najpierw bardzo delikatnie i czule, potem coraz bardziej zachłannie. Wiedziała, że jest to miłość, o której zawsze marzyła. Całował

ją bohater jej marzeń. Była jego, całkowicie jego, tak jak zawsze pragnęła.

- Kocham cię, kocham cię - wyszeptała. Przycisnął Gythę mocno do siebie i powiedział:

- Jak to robisz, że tak wspaniale się przy tobie czuję?

- To znaczy jak?

- Tak, jak nigdy dotąd. - Jesteś ekscytująca kochanie, ale to nie tylko to. Masz w sobie wszystko to, co pragnąłem znaleźć w kobiecie, a raczej w swej żonie.

Znów zaczął ją całować. Całował nieustannie. Podróż minęła tak szybko, że zdziwili się spostrzegając, iż przybyli już do Locke Hall.

Perry czekał na nich w holu. Zapytał niecierpliwie:

- Co robiliście tak długo?

Nie czekając na odpowiedź dodał:

- Wypełniłem wszystkie polecenia, tak że możesz mi być wdzięczny, iż dotarłem na miejsce tak szybko.

- Jestem ci niezmiernie wdzięczny - odpowiedział lord Locke - ale teraz marzymy o kolacji i im prędzej udamy się do jadalni, tym lepiej.

Zdjął swój płaszcz z ramion Gythy i rzekł:

- Jeśli zamierza pani odświeżyć się przed kolacją to proszę pośpieszyć się. Musimy uczcić ten dzień, początek naszego wspólnego życia.

Gytha posłała mu promienny uśmiech. Następnie udała się po schodach na górę, gdzie pani Meadows czekała już na nią na półpiętrze.

- Co panience się przydarzyło? - spytała gospodyni. - Wszyscy bardzo martwiliśmy się o panienkę.

- Jego lordowska mość mnie uratował - odpowiedziała Gytha. - Teraz wszystko jest już takie cudowne.

Ruszyła w stronę sypialni. Chciała jak najszybciej znów znaleźć się przy lordzie. Żał jej było spędzać zbyt dużo czasu na szykowanie się.

Zjedli wyśmienitą kolację, choć Gytha nie pamiętała nawet, co jadła i piła. Wciąż przyglądała się lordowi. Nie mogła uwierzyć, że naprawdę chce się z nią ożenić. Bała się, że to tylko sen. Perry opowiadał coś i zabawiał ich, a ona wciąż czuła na sobie spojrzenie lorda. Wciąż przypominała sobie jego pocałunki.

Miłość wzbierała w niej i wyrywała się z serca niczym promień słońca.

- Żaden inny mężczyzna nie jest równie przystojny, żaden nie jest tak atrakcyjny i męski - pomyślała.

Na samą myśl o jego pocałunkach zaczerwieniła się. To sprawiło, że wyglądała jeszcze piękniej, tak, że lord nie mógł oderwać od niej spojrzenia. Gdy zjedli kolację rzekł łagodnie:

- Idź teraz na górę i przygotuj się, kochanie. Za chwilę weźmiemy ślub w kaplicy, a mój kapelan czeka już na nas.

Gytha wstrzymała oddech.

- Czy jesteś przekonany, że chcesz to zrobić?

- Tak, jestem święcie przekonany - odpowiedział. - Jestem gotów zabić każdego, kto będzie próbował stanąć mi na drodze.

Gdy to mówił Gytha poczuła, jakby jego słowa niczym błyskawice przeszły ją na wskroś. Zabrakło jej słów, by odpowiedzieć. Słowa były niepotrzebne. Z wyrazu jej oczu wyczytał, co czuje. Odwróciła się i pobiegła po schodach do sypialni. Gospodyni już na nią czekała.

Na łóżku leżał koronkowy welon, który od pokoleń znajdował się w rodzinie lorda. Uszyty był z przepięknej koronki, jakby utkany przez wróżki. Wyglądał jak zaczarowany. Gospodyni przypięła go Gythcie do włosów. Spływał po ramionach aż do samej ziemi i ciągnął się za nią

po podłodze. Przyszykowano również diamentowy diadem. Gospodyni powiedziała jej, że przed laty był on własnością prababki lorda. W pokoju czekał także mały bukietik orchidei. Gdy była już gotowa, pani Meadows i dwie pokojówki przyszły, by powiedzieć, że pięknie wygląda i życzyć jej szczęścia.

Zeszła po schodach na dół, gdzie czekał już na nią lord Locke. Z trudem mogła powstrzymać się, by nie zbiec i nie rzucić mu się na szyję. Gdy spotkali się na dole, zdała sobie sprawę jak wspaniale wygląda. Przebrał się w spodnie do kolan i założył jedwabne pończochy. Jego pierś zdobiły odznaczenia, które zdobył na wojnie; krzyż za waleczność dumnie przewieszony był na wstędze wokół szyi. Podał jej dłoń. Poczł, że jej palce drżą, więc rzekł cichym głosem:

- Wyglądasz dokładnie tak, jak sobie wymarzyłem. Gdy już się pobierzemy, pokażę ci jak bardzo cię kocham.

Gytha wstrzymała oddech.

Była tak szczęśliwa, że nie mogła wydusić z siebie ani słowa. Wziął ją pod ramię. Ruszyli w stronę kaplicy, która znajdowała się na tyłach domu. Wybudowano ją, gdy pierwsze fundamenty Locke Hall zostały położone. Z kaplicy dobiegała muzyka organowa. Weszli do środka. Gytha uświadomiła sobie, że podczas kolacji ołtarz udekorowano kwiatami. Kwiatami usłane były również parapety przy witrażach. Okazało się później, że opróżniono wszystkie szklarnie. Przyniesiono również wazon y z domu. Powietrze wypełnione było wonią kwiatów. Zamiast tradycyjnych białych lilii i goździków ołtarz mienił się wszystkimi możliwymi kolorami; od dalii poprzez wczesne chryzantemy, orchidee i mnóstwo innych gatunków kwiatów cieplarnianych. Perry oczywiście występował w charakterze drużby. Kapelan, szpakowaty mężczyzna, rozpoczął ceremonię ślubną. Gytha przypomniała sobie, jak zaledwie kilka godzin temu słyszała

te same uroczyste słowa. Były dla niej niczym śmiertelny cios i miały przekreślić na zawsze jej szczęście, a może nawet całe życie.

Teraz jednak brała ślub z mężczyzną, którego kochała i który też ją kochał. Miała błogosławieństwo Boga i czuła blisko obecność swych rodziców. To czyniło ją jeszcze bardziej szczęśliwą. Lord Locke wypowiadał słowa przysięgi głębokim, szczerym głosem. Oczy Gythy zaszyły łzami. Podziwiała go od lat z daleka, gdy jeździł konno lub na polowanie. Teraz, gdy poznała jego szlachetny charakter wiedziała, że może bez obaw ofiarować mu swą duszę.

- On jest inny niż wszyscy pozostali mężczyźni - powtarzała w duchu. Dziękowała Bogu, że go spotkała.

Gdy ceremonia dobiegła końca lord Locke wyprowadził Gythę z kaplicy. Spodziewała się, że teraz otrzymają gratulację od służby i wypiją szampana z Perrym i kapelanem. Jednak ku jej zdziwieniu w holu nie było nikogo. Lord zaprowadził ją na górę cichym korytarzem prosto do sypialni. Przy łóżku paliło się światło. W pokoju nie było nikogo. Rozejrzała się wokół zdziwiona, a on zamknął drzwi i rzekł:

- Chcę mieć cię teraz tylko dla siebie. Dostyc mam już rozmów i spotkań z innymi ludźmi. Teraz, kochanie, jesteśmy sami.

Chciała, by ją całował. Lord odpiął diamentowy diadem z włosów żony i zdjął welon. Przytulił ją do siebie. Obsypywał pocałunkami, które różniły się od wcześniejszych. Było w nich coś duchowego i niemal świętego, gdyż wciąż myśleli o przysiędze, którą sobie złożyli. Bał się, że ją spłoszy, więc bardzo delikatnie rozpiął guziki na plecach jej sukni. Suknia ześlizgnęła się po ciele dziewczyny i spadła na podłogę. Gytha czuła, że drży, ale to nie był strach. Rosło w niej podniecenie. Poczwała falę gorąca rozchodzącą się od piersi aż po szyję. Lord przywarł do ust żony i namiętnie je całował. Zaniósł ją

do łóżka i położył na pościeli. Jej serce wyrywało się wręcz z piersi, a rozkosz ogarniała ciało. Po chwili lord Locke położył się obok. Wziął ją w ramiona.

- Teraz, moja ukochana żono, pokażę ci co znaczy kochać.

- Wydaje mi się, że śnię. Boję się, że to tylko sen! - wykrzyknęła Gytha. - Kocham cię od tak dawna, ale nigdy nie sądziłam, że się poznamy. A tym bardziej nie śmiałam nawet marzyć o tym, że kiedyś mnie pokochasz.

- Ja też cię kocham. Wiem, że jesteś wszystkim tym, czego całe życie szukałem i myślałem, że nigdy nie znajdę - powiedział lord Locke. - Ale jeśli nie jesteś jeszcze gotowa, by być moją duszą i ciałem, to powiedz.

Gytha uśmiechnęła się. Przytuliła się do jego szyi.

- Jak możesz myśleć, że chciałabym czekać dłużej na ciebie? - spytała. - Gdy dzisiaj myślałam, że straciłam cię na zawsze, świat wydał mi się taki beznadziejnie pusty.

Uśmiechnęła się do niego z miłością, po czym dodała:

- Życie bez ciebie nie miałoby dla mnie sensu. Pogładził ręką jej włosy.

- Moja najdroższa, zrobię wszystko by wynagrodzić ci te cierpienia, stratę ojca oraz lata spędzone samotnie z dziadkiem.

Gytha wstrzymała oddech.

- Nigdy nikt nie mówił do mnie w ten sposób.

- Odkąd pierwszy raz pojawiłaś się w mojej posiadłości, od razu wiedziałem, że będę cię chronił i spłacę twemu ojcu dług wdzięczności - wyznał.

Następnie rzekł głębokim głosem. - Ponieważ byłaś taka dumna i niezwykle odważna, zakochałem się w tobie. Gytha westchnęła, a on ciągnął:

- To prawda! Nie znam żadnej kobiety, która zachowałaby się tak dzielnie, w podobnych okolicznościach.

Obsypywał żarliwymi pocałunkami jej delikatne policzki i nie przestawał mówić:

- Jesteś taka piękna, kochanie, ale podziwiam również twój charakter. Masz fascynującą osobowość. Jak w takiej malej istotce może pomieścić się tyle dobra.

- Chcę być dla ciebie wszystkim, czym tylko zapragniesz - odpowiedziała Gytha. - Więc proszę, naucz mnie kochać. Chcę, byś był szczęśliwy.

- Przysięgłem sobie, że nie tylko zawsze będę cię chronił, ale również wielbił i czcił aż do śmierci.

Całował ją coraz namiętniej. Instyktownie mocno przywarła do niego, aż poczuła że, ich serca biją jedno przy drugim. Wiedziała, że lord jest podniecony. Pieścił ją coraz gwałtowniej. Ciało Gythy zaczęło mu odpowiadać. Płomienie namiętności ogarnęły również i ją.

Powtarzał:

- Kocham cię, kocham cię. Całował oczy, szyję i piersi dziewczyny.

- Kocham cię całą sobą - jęknęła. Cały świat przestał dla nich istnieć.

Ich ciała zjednoczyły się i Gytha zrozumiała, że jest to miłość o jakiej zawsze marzyła. Była nawet wspanialsza, niż sobie mogła wyobrazić. To był dar i błogosławieństwo od Boga. To on chronił ich od zła, on ofiarował im prawdziwą, czystą miłość.

Mieli ją teraz i na zawsze.